

Jan Grygiel

TARNOBRZESKIE ZAGŁĘBIE LITERACKIE

Nie, w tytule nie ma pomyłki. Choć niewiele ludzi dziś u nas w kraju wie, że Tarnobrzeg nie tylko siarką słynie. Niewiele zdaje sobie sprawę z tego, że ta ziemia, przedtem nim stała się jedną wielką kopalnią żółtego minerału była kopalnią samorodnych talentów pisarskich, twórców ludowych i świadomych, aktywnych działaczy. Małe, na pozór senne miasteczko z wojowniczym Bartoszem Głowackim, szarżującym z cokołu w rynek — jeszcze za galicyjskich czasów było żywym ośrodkiem myśli patriotycznej, radykalizmu chłopskiego i kultury ludowej dla całej niziny sandomierskiej rozłożonej w widłach Wisły i Sanu.

Tu żył i tworzył poeta ludowy Wincenty Motas z Grębowa, poeta i chłopski gawędziarz Tomasz Walski ze wsi Stale, pamiętnikarz i działacz polityczny Jan Słomka (starszy) z Dzikowa. Na nadwiślańskich błoniach organizował słynne, patriotyczne widowiska plenerowe Wojciech Wiącek z Machowa — pelen rozmachu teatr amatorski kierowany przez tego ludowego poetę i publicystę inscenizował m. in. „Bitwę racławicką” z udziałem tłumów chłopskich aktorów w sukmanach. Spektakle zamieniały się zwykle w potężne manifestacje patriotyczne. W Tarnobrzegu urodził się w Wielowoli mieszkał Ferdynand Kuraś — głośny poeta samorodny, autor kilku tomików wierszy i wzruszającego pamiętnika „Przez ciernie żywota”, stąd wreszcie wyszedł rewolucyjny chłopski poeta Stach znad Sanu (Stanisław Gąsiorowski), który za czasów Republiki Tarnobrzskiej i później w okresie działania Niezależnej Partii Chłpskiej dawał walczącym chłopom wiersze działające jak trotyl. Jego „Pieśń oraczu” śpiewało w gmachu sejmu 100 posłów lewicowych tak, aż mury się trzęsły (przed upadkiem rządu Grabskiego). Skrupulatny badacz tradycji chłopskiego pisarstwa wymieniłby wiele jeszcze nazwisk gawędziarzy, pamiętnikarzy, twórców nieporadnych nieraz wierszy i pieśni. O niektórych pamięć już się zatarła w okolicy, nawet u synów ich i wnuków. Tylko nieliczni z nich zyskali popularność wykraczającą poza lokalne opłotki, ale niewyszukana twórczość pozostałych świadczyła o poziomie kulturalnym, ambicjach i dążeniu do wyrwania się z poniżenia, nędzy i zacołania całego ludu tarnobrzskiego, do osiągnięcia przez pióro i książkę awansu społecznego i

praw obywatelskich. Ten poryw doprowadził do powstania Republiki Tarnobrzkiej — żywiołowego buntu przeciw upośledzeniu i krzywdzie.

W tym kulturalnym i literackim zagłębiu nie brakło i takich twórców, którym ucieczka od chłopskiego losu powiodła się. Udało im się zdobyć wiedzę, popularność w całym kraju i stałe miejsce w literaturze narodowej. Z pobliskiego Radomyśla nad Sanem wyruszył w świat Jan Wiktor, z Wielowoli wciąż powtarzał swe odejścia i powroty Stanisław Piętaś. Czy została tam po nich pamięć wśród bliskich i przyjaciół? Byli przecież pisarzami wysokiej rangi, znanymi wszystkim bywalcom bibliotek. Ich twórczość, a zwłaszcza twórczość Stanisława Piętaśa tryskała wciąż z tego samego źródła — z przywiązania do rodzinnych stron, z miłości do nadwiślańskiego krajobrazu, z obyczajów, kultury i losów ludzi kraju lat dziecinnych.

Między Sandomierzem a Tarnobrzgiem rozciąga się wielka, płaska równina, obramowana gdzieś tam na horyzoncie kępami lub ścianami drzew. Przypomina mi się rozfalowany trawami i zbożami krajobraz z wczesnych wierszy Piętaśa. Ro-

zumiem, skąd w nich ten nastroj rozlewnego liryzmu, melancholii i smutku — ten pejzaż budzi takie wzruszenia. W Wielowoli szukam śladów po poecie, po jego rodzinnym domu i twórczości. Chcę go zobaczyć inaczej, niż dotąd — nie przez karty jego książek, nawet nie przez wspomnienie osobistych z nim kontaktów, lecz oczyma ludzi z jego wsi, przez wspomnienia krewnych i przyjaciół.

W Gromadzkiej Radzie Narodowej, potężny, trochę niedźwiedziowaty w ruchach przewodniczący uświadamia mnie, iż ludzi, którzy go znali nie trzeba daleko szukać. — Był trochę starszy ode mnie, ale w dzieciństwie i młodości razem się chowaliśmy. Chętnie redaktorowi powiem, co zapamiętałem z tych czasów.

Przewodniczący, Józef Janaś, nie pamięta jednak zbyt wiele. Ileż to lat już upłynęło. U Piętaśa, gdy Staszek dorastał, była wielka bieda. Ojciec był w Ameryce, majątku tam nie zrobił, bo nic do domu nie przysyłał, a tu w kraju saba, zaharowana matka, drobne dzieci i tylko 4 morgi ziemi. To, co Piętaś pisał w „Młodości Jasia Kunefała”, że z głodu jadł zerwany w polu szczaw, że chorował ciężko w dzieciństwie z wyczerpania, to szczerą prawdą. Przez tę biedę nigdy później nie miał zdrowia — był bardzo nerwowy, wrażliwy, często chorował. Ale wszyscy go lubili, bo był grzeczny i towarzyski. Nawet później, gdy już studiował w Warszawie i zdobywał sławę literata, utrzymywał bliskie kontakty z kolegami w Wielowoli. Był w stosunku do nas bardzo serdeczny, zawsze mówiliśmy sobie po imieniu, nigdy nie było między nami żadnego dystansu.

Zresztą w całej jego twórczości z tego okresu, a zwłaszcza w „Młodości Jasia Kunefała”, jest pełno sąsiadów i krewnych Piętaśa, którzy występują tam jako postacie powieści pod zmienionymi nazwiskami. — Mój ojciec jest tam również — dodaje z dumą p. Janaś. Nie może jednak przypomnieć sobie pod jakim nazwiskiem.

(Ciąg dalszy na str. 7)



Wielowieś. Szkoła im. Stanisława Piętaśa.

Fot. M. KOPEC

OSTATNIE LATA MISTRZA

Mistrz nie jest młody — mistrz ma 600 lat.

Mistrz jest bardzo gospodarny.

Mistrz służy za wiekową bramę, której otwarte wierzaje dają turystom wstęp do bieszczadzskich ścieżek. Mistrz bowiem docenia turystów, próbuje ich znieść pięknym położeniem, nasłonecznionym rynekciem, czystością gastronomii i nieśmiałościami jeszcze, acz ładnymi imprezami. Mistrz naturalnie przewodzi powiatowi bardzo rolniczemu, w którym 65 200 ludzi żyje na wsi i tylko 12,3 proc. całej ludności — a więc 73 300 mieszkańców — utrzymuje się ze źródeł pozarolniczych. Mistrz marzy ponadto, aby nareszcie odbyło się jego oficjalne przeszerogowanie w powiaty turystyczne, z czego płyną wszak realne korzyści rozbudowy i zaopatrzenia, co od dawna mu się przy tym należy z położenia, obyczajów i wspomnianej już gospodarności.

Mistrz nazywa się Brzozów, co naturalnie łatwo było odgadnąć, bo szerokim echem odbiła się jego dwumilionowa nagroda,

jaką zdobył w ogólnopolskim konkursie na Mistrza Gospodarności. Te dwa miliony złotych Mistrz pragnie ulokować jak najprzeźorniej, jak najmądrzej, jak najzyskowniej i przede wszystkim włożyć je właśnie w te dziedziny gospodarki, które służą turystyce — a więc człowiekowi szukającemu odpoczynku, piękna i ciszy w najświetniejszym krańcu naszego województwa — Bieszczadach. Z sympatią niepomiarłą obserwuje się te ambicje Mistrza, które z wyżej wymienionych względów winny znaleźć uznanie gdzie trzeba i gdzie się decyduje nieco wcześniej aniżeli przyszedł zaszczytny tytuł, powiat ten bowiem od dawna służył turystyce najpiękniej jak umiał i od dawna był z nią w harmonijnej przyjaźni. Lecz też od dawna przyjaźń owa miała cechy ubogiego przyjaciela, który robi co może, aby przyjąć gości i musi nalewać napoje z próżnego dzbana: bo to i hotelu z prawdziwego zdarzenia brak, i zaopatrzenie nie najprzedniejsze, i kino, jak je pomieszczono w pierwszych latach Polski Ludo-

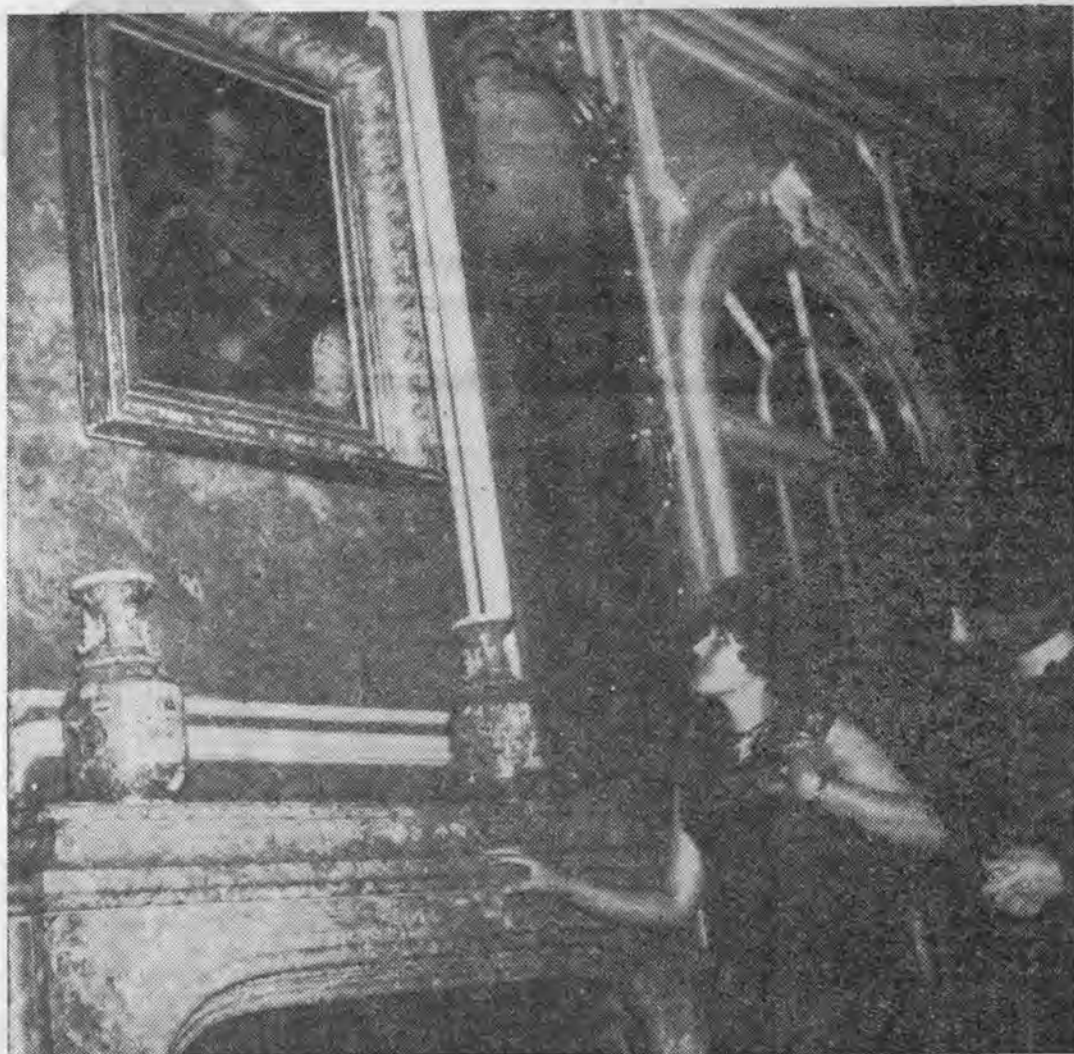
wej w sali gimnastycznej — tak po dzisiejszy dzień trwa w niej nieodmiennie, a Izba Pamiętek, najbogatsza spośród czterech w powiecie, prosi się także o transformację na muzeum regionalne. Tytuł Mistrza przyszedł więc w porę, by parę spraw pałacowych, a należnych powiatowi, wyprowadzić na czyste wody sensownych inwestycji.

Wspomniałam na wstępie o nieśmiałości inicjatywach powiatu brzozowskiego, mając na myśli dwie z nich: jedną, liczącą już tradycyjny rok, czyli Dni Folkloru Pogórza Dynowskiego, tak pięknie wtedy zapisaną w naszej pamięci i równie pięknie uświetnioną w tym roku ogólnowojewódzkim konkursem na wyroby wikliniarskie, który właśnie w Dynowie i właśnie w dniach jego folkloru znajdzie swoje rozstrzygnięcie oraz drugą, zainicjowaną po raz pierwszy w związku z Dniami Oświaty, Książki i Prasy — czyli Brzozowskie Spotkania Kulturalne. Zbiegły się one harmonijnie z początkiem wczesnego sezonu na Bieszczady, z urodą wiosennych łąk, otaczających

600-letni Brzozów, ze słońcem, z malowniczą świeżością tego zakątka kraju.

Lubię takie imprezy. Są świeże i autentyczne. Mają coś z uroków niedoświadczenia i improwizacji szczerej, mają nadzieje na przyszłe lata zawojuwać zwolenników — pogniebić adwersarzy; trochę po omacku próbują zamknąć w kształt kulturalny wszystko, co mogłoby być do pokazania, do kulturalnego przetargu, do zaciekawienia turysty z Polski. Chwalą się kulturą regionu i inicjatywą autochtonów Robią ruch wokół działań, które przywykliśmy uważać za zwyczajne, a które bynajmniej zwyczajnymi nie są, toteż tym bardziej nie wolno im spowszednieć.

Sejmik brzozowskich działaczy kultury, który zamknął brzozowskie spotkania, dał sporo powodów do przemyśleń nad tzw. kulturą powiatową i jej drogami. Działacze sensu stricto nie uczestniczyli w nim wielu —



Łańcuckie spotkania 12—17 maja 1968 r.

Fot. M. KOPEC

Roman Sądecki

Na zachód od puszczy

Najpierw wam opowiem o człowieku ze Swiniar Starych. Nie dlatego, że wiódł życie światowca, przygód pełne, w ciekawe wątki obfitujące. Jeśli tak myślicie, będziecie zaskoczeni. Żywot Siudaka przypomina bowiem upierzenie wróbelka, skrzętniej ptaszyny — bywalca spłowiących stodół i wiejskich podwórek. Niepozorne i szare, ciężkie od monotonii, jak te równiny nadwiślańskie, jak piachy i szczyrki, do których od kołyski przylgnął.

Na ubogich morgach żyło ich kilkoro. W dzieciństwie marzył o pajdzie razowca umaczonej w śmietanie. Gdy podrosł nieco, inne pragnienia spać mu nie dawały; jego ręce głodne były roboty. Parobkował u bogatych, drwa rąbał w lesie, czego się nie chwycił? Do szkółki wiejskiej chodził cztery zimy. Potem mu rzekli: daj spokój, po co biednemu nauka?

— My odżyli dopiero, jak siarka nastąpiła! — wspomina Siudak. — Chwyciliśmy się zębami i rękami tej roboty!

Powiedział: rękami! To jedno słówko ubożo wyobraźnię. W nim zawarta jest treść. Poszli z synem do Piaseczna. Jaśka przeszkolili i dostał się na koparkę. Ojca zaś zrobili wiertaczem.

Siudak nie pamięta, kiedy po raz pierwszy poczuł się prawdziwym człowiekiem, powszechnie szanowanym, ważnym na tym świecie. Może to było wówczas, gdy na akademii dali mu odznakę Przdownikowi Pracy? A może nastąpiło podczas uroczystości wręczenia Srebrnego Krzyża Zasługi? Nie pamięta również, kiedy poczuł inny głód; żeby zająć do gazety, co tam pisać. Żeby książkę wziąć do ręki lub radia posłuchać. To przyszło samo — mówi, dziwiąc się własnej przemianie.

— Co to było radość, gdy mój wrócił jednego wieczoru w galanym mundurze! — wspomina Siudakowa. — Wyglądał jak górnik z obrazka. Wtedy on tylko dostał czarny mundur, nie licząc dyrektorów.

W dolinie żółtego skarbu

Siedzi w nowoczesnym urządzonym gabinecie sekretarza. Rozmawiamy o przyszłości tarnobrzeskiego regionu. Wpadł tu na chwilę Wiesław Koszela, redaktor naczel-

ny zakładowej gazety „Siarka”, przyszedł Jan Łysakowski z wydziału kadr, a także Maciej Kwasek — starszy instruktor szkolenia zawodowego. Sekretarz tow. Wincenty Moskał z Komitetu Zakładowego partii zajmuje się sprawami propagandy. Skarży się na permanentny brak czasu. Robota robotę goni. Tymczasem ma dodatkowo na głowie egzaminy magisterskie, które wkrótce musi zdać.

— Przemiany świadomości ludzi w wyniku uprzemysłowienia okolicy! To przecież problem dla obszernej rozprawy naukowej — zastanawia się sekretarz. — Ja bym zaczął od markowskiej tezy, że był społeczny wyznacza świadomość. Dam taki przykład. Dzięki odkryciu siarki, dochody ludności wzrastają rocznie o 260 milionów złotych...

— Czy nie upraszczamy kwestii? — Na pewno nie! — spieszy sekretarzowi z pomocą redaktor Koszela. — Wystarczy uzmysłowić sobie fakt, że nie tak dawno chodziło się tutaj w lykowych łapciach i zgrzebniej koszuli. Nędza była na tych piachach powszechnym zjawiskiem. Jeśli brakowało chleba, kto myślał o książce czy filmie? Przemiany powojenne w egzystencji ludności następowały wolniej niż w innych częściach kraju. Wynikało to z gospodarczego zacofania tej ziemi.

— Ja bym uzupełnił tę myśl — odzywa się Łysakowski. — Nasza wielotysięczna załoga rekrutuje się właśnie z tych ubożuchnych wiossek. Wprawdzie znaczny procent mieszka dziś w Tarnobrzegu, dojeżdża z Sandomierza, Rozwadowa, Mielca, Baranowa, jest to jednak element pochodzenia wiejskiego. Ich awans społeczny, wykształcenie, kariera, miejskie bytowanie — to kwestia właśnie ostatnich lat. Prawdziwa rewolucja w ich życiu!

Ostatnie lata charakteryzują się nie tylko dynamicznym rozkwitem inwestycji przemysłowych w dolinie żółtego skarbu. Wraz z nimi rosła ludność. Wydobywają się stopniowo z cywilizacyjnych i kulturalnych nizin, podciągają do krajowej czołówki. Trwa proces przekształcania się wiejskiej populacji w wielotysięczny, zwarty i świadomy oddział robotniczy.

Antoni Franczyk z Dąbrowicy zarabikował jako wiejski krawiec.

Dziś jest sztygarem w zakładzie produkcji siarki. Marian Daszko z Chmielowa jest brygadystą. Przez kilka lat piastował nawet funkcję sekretarza komitetu zakładowego partii. Działa w samorządzie robotniczym. Zamieszkał w tarnobrzeskim Osiedlu, które znajduje się w ciągłej rozbudowie. W mieszkaniu — radio, telewizor, inne urządzenia. Aleksander Sowa ze Skowierzyna, zanim został sztygarem w Machowie, otrzymał wprawdzie tytuł inżyniera na krakowskiej uczelni. Stanisław Floras z Krzycina, legitymujący się przed kilku laty czterema klasami szkoły podstawowej, właśnie w kopalni Piaseczno uzupełnił podstawowe wykształcenie, zdobył kwalifikacje górnik. Przed wojną był farnalem w majątku Przewłoka Piaseczna. Kazimierz Urbański z Łoniowa, zanim został szefem brygady obsługującej pompy w Piasecznie i wygrał wraz ze swoimi chłopcami współzawodnictwo o tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej, uzupełnił wykształcenie, ukończył szkoły zawodowe, kursy specjalizacyjne.

— W naszych zakładach pracuje ponad 1300 osób z wyższym i średnim wykształceniem — informuje Łysakowski. — Przeważająca większość dostała świadectwa i dyplomy będąc równocześnie pracownikami.

— Działa u nas blisko 2 tysiące członków partii, zrzeszonych w 31 organizacjach partyjnych — zwraca uwagę sekretarz Moskał. — Przed dziesięciu laty, trudno było się doliczyć stu towarzyszy.

— Przypomnijmy sobie również i ten fakt, że w ciągu kilku lat wykształcił się u nas silny kolektyw działaczy politycznych i społecznych! — powiedział mi instruktor szkolenia Maciej Kwasek. — Aktywiści partii, związków zawodowych, samorządu robotniczego, organizacji młodzieżowych, innych stowarzyszeń masowych liczą bodaj kilkaset osób. Przedtem ich nie było. Wyrosli z surowego materiału ludzkiego.

Wieczorem pojechałem do Chmielowa, by odwiedzić Jana Sochę, kierownika jednego z licznych oddziałów gospodarczych „Siarki”. Potrzebny mi był jako ilustracja

(Ciąg dalszy na str. 3)

Ostatnie lata Mistrza

(Ciąg dalszy ze str. 1)

byli za to ci, którzy pamiętają Brzozowskie sprzed laty i którzy dziś o nim mówiąc, nie umieją się pozbyć natrętnej obsesji porównań, dostrzegania ostrości różnic, doceniania urody dnia dzisiejszego, urody takiej imprezy. I to właśnie oni próbują zamknąć w cyfrach te przemiany, by ostatnie lata Mistrza tym łatwiej ubrać w rzeczowość, a pozbawić goślośności i pustosłowia. Rzecz tym łatwiej im przychodzi, że Brzozowskie nigdy nie liczyło się do okręgów żywotnych, uprzemysłowionych, poddanych prawom naturalnego rozwoju wraz z cywilizacją, że po wojnie samo miało być w ruinie, że co najmniej 10 szkół nie mogło rozpocząć nauki z powodu zniszczeń spowodowanych przez banderowców, że kilka nie miało kadry nauczycielskiej.

Ze na rok przed wojną 24 tysiące osób w powiecie nie umiało czytać, że około 15 proc. dzieci nie korzystało ze szkół w ogóle, że na 72 szkoły — zaledwie 10 dysponowało VII klasą, że na kształcenie dzieci wydawała statystyczna rodzina rocznie 6 złotych i 35 groszy; a na pisma i książki — jeden złoty i 76 groszy...

Ze wreszcie w tym powiecie było: 1 gimnazjum, 1 kino i kilka społecznych czytelni...

Ten przerażający negatywny bilans zastał Brzozowskie tuż po wojnie i pierwsze dwie imprezy, jakie poczyniło — to na 40 kursach nauczyło czytać i pisać około 2600 osób, otworzyło 3 gimnazja, pierwszą bibliotekę publiczną i rozparcelowało 13 majątków obszarowych, rozdając około 2 tysiące hektarów 1468 rodzinom. Wtedy też zaczęła się migracja, w której około 2,5 tysiąca rodzin odpłynęło w inne rejony Polski i zapoczątkowało zmiany w rozmieszczeniu ludności oraz niebagatelne zmiany w źródłach utrzymania.

W oświacie ma chyba sens przypomnieć, że z 10 szkół VII-klasowych dziś jest 59 z VIII klasą, że oprócz dwóch gimnazjów jest technikum i kilka szkół zawodowych, że przypuszczalnie nie ma wsi w Brzozowskim bez absolwenta uniwersyteckiego, bo przed dwoma laty kształciło się ich w szkołach wyższych 104 właśnie ze wsi, a 77 z miast.

I właściwie w którą dziedzinę oświaty czy kultury nie sięgnęlibyśmy — to widać w niej skoki kolosalne: z kilku społecznych czytelni powstało dziś 24 biblioteki, 18 ich filii oraz 31 punktów o łącznej ilości 118,5 tys. woluminów oraz 15 700 czytelników; powstały 4 domy kultury, 15 klubów rolnika, 8 klubów „Ruchu”, 12 świetlic przyzakładowych; działają w terenie 62 zespoły amatorskie, w tym najślawniejszy zespół z Haczowa, któremu przewodzą stary działacz ludowy — Stanisław Wysocki, że imponujący skok uczyniły środki masowego przekazu w ostatnich paru latach i tu, jako zwolenniczka telewizji i prasy, przytoczę cztery liczby: przed 7 laty w Brzozowskim było 7 odbiorników telewizyjnych — dziś jest ich na wsi 3314, a w mieście 616; przed 7 laty czytało się 250 tysięcy egzemplarzy dzienników i 133 tys. czasopism — dziś 720 tys. dzienników i 270 tys. czasopism.

Urzekły mnie te liczby, bo eliminują słowa, które mogłyby je zastąpić superlatywem przymiotnikowym, nieco, przynajmniej, wyświechtanym w powszechnym użyciu. Zamknięty w tych liczbach powiat potężnie kulturalnie i potrafi wzruszyć opowieścią starego działacza, który nie bardzo wiedział przed pół wiekiem, jak w małej chałupie w Humnikach wybudować potężny Wóz Drzymały; który dziękował

w 1883 roku właścicielowi Wzdowa za stajnię przeznaczoną na ludowe widowisko Anczyca — „Flisacy” — pierwsze widowisko, jakie amatorski zespół brzozowski przygotowywał. Wzrusza opowieść o nauczycielu z Jasionowa, który tak wychowywał kształcącą się później w szkołach młodzież, że wracała na wakacje do rodzinnej wsi, by prowadzić działalność oświatową; nabiera znaczenia apel pod adresem młodych dzwicząt z klubów Ruchu i Rolnika do samodzielnej inicjatywy w tępieniu gruboskórności i rozwydrzenia pośród licznych jeszcze uczestników tych klubów — apel starego działacza z Górek Dużych, który przed laty robił co mógł, i jak umiał, by chętno z rodzinnej wsi wyrugować.

Składają się te drobne ułamki wspomnień i niemal monumentalne liczby lepiej na kształt kultury powiatowej niż najdoskonalsze słowne deklaracje. Jest w nich rzeczowość i to, co zawsze uważałam za najwspanialszą cechę wiejskiego działacza kultury: żarliwość i chęć nawiązania do tradycji.

Właściwie każdy powiat, w którym są tacy działacze, powinien mieć swoją historię kultury i Brzozowskie nie byłoby w ten sposób żadnym novum. Nie wszędzie jednak umieją te sprawy wyjść na forum publiczne, tak jak właśnie wyszły w Brzozowskich Spotkaniach Kulturalnych, zainicjowanych przez Brzozowskie Towarzystwo Kultury. Towarzystwo liczące 182 członków, mające za prezesa sekretarza propagandy KP PZPR, mające ambicje wydawnicze, które zachowałyby niepowtarzalny folklor podbieszczadzkiego regionu: świątkarzy, hafciarzy i wikliniarzy, historię pierwszego teatru ludowego na naszym terenie i... historię 6 wieków kultury polskiej. Dlatego, mam wrażenie, że te 6 wieków pracowało na Mistrza Gospodarności nie tylko w sensie ekonomicznej zaradności, ale przede wszystkim Mistrza doceniającego znaczenie tradycji i bogactwa ludowej kultury.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Wieś w malarstwie Piotra Michałowskiego

W ubiegłą środę (15 bm.) otwarto w Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemyślu ogromnie interesującą wystawę malarstwa i rysunków Piotra Michałowskiego. Ekspozycja obejmuje 14 obrazów olejnych, 5 akwareli i 14 rysunków, zamkniętych w tematyczny cykl i nazywany „Wieś w malarstwie Piotra Michałowskiego”.

Zestaw oryginalnych prac pochodzi ze zbiorów Muzeów Narodowych w Krakowie, Warszawie i Poznaniu oraz Muzeum Śląskiego we Wrocławiu.

Większość eksponowanych szkiców, akwareli i olei pochodzi z drugiego okresu twórczości Piotra Michałowskiego tj. od 1840 roku, kiedy to twórca przebywał w Bolestraszczykach na ziemi przemyskiej. Tu powstała m. in. powszechnie uznana i zachwycająca seria akwarelowa zwierząt: krów, wołów i byków.

Wystawa ma na celu zbliżenie twórczości znakomitego malarza polskiego XIX wieku, który utrwalił w swych dziełach ludzi, ich pracę i piękno krajobrazu przemyskiego. M.G.

Andrzej Jaroszewski

DOWÓD MĄDREJ TROSKI



Fot. M. KOPEĆ

Ktoś z wybitnych ludzi naszej epoki powiedział kiedyś, że miarą wartości narodu jest pietyzm, jakim naród otacza pamięć o swych wielkich, a nieżyjących synach. Myśl zawarta w tym powiedzeniu stała się do tego stopnia własnością ogółu, iż nie pamięta się już jej autora; jej sens przepojony humanizmem niesie duży ładunek mądrości troski o najgłębsze wartości myśli twórczej, ich zachowanie i kontynuację. Każdy napotkany dowód takiej troski musi napawać radością; jest to bowiem jedyna droga umożliwiająca zachowanie pomostu między tym co odeszło, a tym co naszą najlepszą wolą wypracujemy dla siebie i następnych pokoleń. Jest to też jedyny sposób uratowania od nieuchronnego zatarcia upływających czasem szczegółów istotnych dla przyszłych badaczy. Szczegółów autentycznych. Inicjatywa utworzenia Archiwum Artura Malawskiego jest pięknym dowodem zrozumienia tych prostych, ale jakże istotnych dla kultury stwierdzeń. Jest głęboko przemyślaną i w odpowiednim czasie podjętą próbą przechwycenia ulotnych wspomnień i materialnych, ale łatwych do zagubienia czy zniszczenia materiałów rysujących sylwetkę jednego z najwybitniejszych twórców w historii naszej kultury. Jeszcze żyją jego uczniowie, ludzie, którzy pamiętają jego troski i idee artystyczne z bezpośrednich rozmów. Jeszcze żyją ci, którzy mogą te wspomnienia i wiedzę o życiu i twórczości kompozytora zabezpieczyć od zapomnienia. Dobrze więc, że pomysł utworzenia Archiwum narodził się właśnie teraz. Istnieje dzięki temu szansa, że nie powtórzy się historia pamiętek po Karolu Szymanowskim, które zdołało rozproszyć po świecie trzydzieści zaledwie lat.

Otwarcie wystawy, która jest pierwszą ekspozycją Archiwum nastąpiło równocześnie z inauguracją tegorocznych Dni Muzyki Kameralnej. Ten fakt świadczy również o działaniu przemyślanym. Skorzystano z okazji zainteresowania licznych gości sprawami Archiwum. Być może, znajdą się wśród nich tacy, którzy będą mogli dorzucić do zbiorów jakieś własne pamiętki...

Archiwum pamiętek po Arturze Malawskim zajmowało „Salon Wejściowy” łańcuckiego pałacu — po ekspozycji w XVII-wiecznym Refektarzu

Muzeum Okręgowego w Rzeszowie przeniesione zostanie na stałe do specjalnych pomieszczeń w Przemysłu, mieście urodzenia twórcy. Nastąpi to w 64 rocznicę urodzin kompozytora, dnia 4 lipca br.

Do chwili obecnej zgromadzono pokaźną ilość dokumentów ilustrujących przebieg twórczego życia Malawskiego. Są więc afisze koncertowe, programy, recenzje — począwszy od najwcześniejszych. Oglądamy zdjęcia kompozytora, zarówno w gronie rodziny robione, jak też te bardziej znane, publikowane za życia artysty, przypominające go za pulpitem dyrygenckim, czy z partyturą w ręku.

Prawdziwego wzruszenia doznajemy oglądając małe dziecinne skrzypce, na których poznawał pierwsze tajniki świata dźwięków jako sześciolatek chłopiec. Najciekawszą jednak częścią ekspozycji są listy — najlepsze źródło wiadomości o życiu twórcy, o jego kłopotach, radościach i niepokojach.

Sylwetka Malawskiego wyłania się z nich jasno; jest to sylwetka kochającego syna (jakże wzruszający jest jego stosunek do matki), niezwykle pracowitego i rzetelnego człowieka, a nade wszystko świadomego, myślącego i głęboko czującego artysty. Listy te stanowią zresztą — szczególnie dla młodego pokolenia — doskonałą lekcję historii; porównania roli artysty w społeczeństwie, przed wojną i obecnie — narzucają się same. Porównania te przy tym są tym wartościowsze, że wynikają z dokumentów — jak najbardziej autentycznych, pozabawionych elementów oficjalnych sformułowań. Są niefałszowanym obrazem historii środowiska muzycznego w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Jeszcze jeden eksponat archiwum zasługuje na specjalną uwagę; jest nim taśma magnetofonowa, z której — obok „Etiud Symfonicznych” — słuchamy głosu kompozytora. W obszernej wypowiedzi Malawski charakteryzuje swój stosunek do własnej twórczości, do jej miejsca we współczesnej muzyce. Mówi też dużo na temat współczesnych mu technik kompozytorskich i swojego stosunku do nich. Z tych wypowiedzi przebija nie tylko głęboka wiedza muzyczna; wyłania się też profil artysty zaangażowanego, reagującego żywo na współczesną mu pro-

blematykę polityczną i społeczną.

Te wszystkie cechy Malawskiego znane są doskonale dużej grupie polskich muzyków — był on przecież nie tylko kompozytorem, ale i pedagogiem. Jako długoletni wykładowca w PWSM w Krakowie wychował rzeszę wybitnych artystów — kompozytorów, dyrygentów, teoretyków i instrumentalistów.

Wystawa dokumentów Archiwum Artura Malawskiego jest już w Łańcucie zakończona. Z pewnością spełniła tam swoją rolę uświetniając — jako impreza towarzysząca — przebieg tegorocznych Dni Muzyki Kameralnej. Sądzę, że na swoim stałym miejscu, w Przemysłu, stanie się ośrodkiem zainteresowania muzykologów, a także studentów i uczniów szkół muzycznych całej Polski. Jej wartości poznawcze rosną będą z każdym rokiem.

Na zakończenie chciałbym — jako jeden z tysięcy rzeszy melomanów — złożyć wyrazy głębokiej wdzięczności organizatorom i projektodawcom Archiwum: władzom kulturalnym Rzeszowa, Muzeum Ziemi Przemyskiej i ośrodkom spraw kultury, red. Marii C. Guziółek, której staraniom i entuzjazmowi powstanie tej placówki zawdzięczamy.



Na zachód od puszczy

(Ciąg dalszy ze str. 2)

awansu społecznego wiejskich chłopaków, którzy z trudem gramolą się po stopniach społecznej kariery. Socha poszedł na filozofię. Ojciec, wódz drobnego gospodarstwa, nie potrafił mu pomóc. Biedował, w końcu rzucił studia. Został magazynierem w Tarnobrzegu. Z nauki jednak nie rezygnuje; wkrótce znalazł się na zaocznych studiach ekonomicznych w Krakowie. Zakłada rodzinę. Bierze pożyczkę państwową i buduje dom. Obecnie jest na piątym roku studiów. Zwierzchnicy cenią jego sumiennosc. Słowem — pozytywny bohater trudnej współczesności.

Chciałem go zapytać, jak wyobraża sobie przyszłość? Co chciałby w swym życiu osiągnąć? Dla czego umocnił się właśnie w wsi, z dala od miasta? Niestety, nie zastałem go w domu.

— Za kilka dni mąż ma ostatnie egzaminy — powiedziała jego żona. — Uczy się całymi nocami. Dziś również poszedł do swego kolegi Dula. Razem lepiej im się wkuwa.

Właściwie to już wszystko o nim wiem.

Parę słów o kombinacie szkolnym w „Siarce”. W tym roku zostanie oddany do użytku. Trzy piętrowy gmach kosztuje ponad 30 milionów. 1100 uczniów, młodych i starych, czerpać będzie w tych murach wiedzę. Nowoczesne sale wykładowe, warsztaty szkolne, hale gimnastyczne, gabinety pomocnicze i inne urządzenia naukowe, kulturalne i gospodarcze zapewnią maksimum komfortu.

Warto wam wiedzieć, że na potrzeby Kopalni i Zakładów Przetwórczych Siarki w Machowie pracuje kilka szkół. Istnieje Technikum Mechaniczno - Elektryczne dla młodzieży, Szkoła Zawodowa dla pracujących, Wieczorowe Technikum Mechaniczne dla dorosłych, kursy ekonomiczne. Powstały punkty konsultacyjne Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie oraz lubelskiego Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie. W tych wszystkich placówkach szkolnych uczy się kilkadziesiąt osób. Poza tym są tacy, co robią doktoraty.

Nie chciałbym zanudzać mnogością liczb, niektóre jednak są ciekawe. Podkreślają wydatnie rolę zakładu w rozwoju kulturalnym tarnobrzęskiej ziemi. Na przykład, od kilku lat organizuje się tutaj różne kursy specjalizacyjne. Roczn-

nie szkoli się na nich średnio 1200 ludzi. Są to kursy operatorów koparek, spychaczy, zwalowarek. Kształcą się spawacy, elektromonterów, ślusarzy, kierowców, maszynistów. Wielu zdobywa naukę i doświadczenie poza granicami kraju.

Wysłuchajcie jednak jeszcze jednej informacji. Otóż działa tutaj sprawnie Państwowa Komisja Egzaminacyjna, która przyznaje tytuły mistrzów i robotników kwalifikowanych. W różnych zawodach: górniczych, chemicznych, elektrycznych, mechanicznych. W bieżącym roku, na przykład, przewiduje się przyznanie około 300 tytułów mistrzowskich i uprawnień robotników kwalifikowanych. Gdy się było rolnikiem i prowadził wiejski tryb życia, nikt nie pytał o zawartość głowy. W zakładzie jednak pytają o wykształcenie; od nich zależy awans, wyższa stawka płac, honory i szacunek. Istnieją więc niejako obiektywne warunki, które skłaniają do sięgania po książkę.

Kombinat przeznaczają dla młodzieży wyższych szkół 45 stypendiów rocznie. Ostatnio zaoferował dalsze 22 stypendia. Co roku przyjmuje się do pracy średnio 300 stażystów z różnych uczelni. Pracownicy kształcą 80 swoich dzieci w Technikum Górniczym w Chorzowie. Rośnie zatem drugie pokolenie załogi siarkowego zagłębia.

Na zachód od puszczy — krajobraz księżycowy. Zwąły ziemi, wądoly o ostrych krawędziach, ły i piachy. Tu, gdzie kiedyś darły się wilgi na samotnej wierzbie, dziś rozdarto kożuch trawnik, by ukazać tajemnicze głębin. Znikają strzechy, kurne chaty, błotniste drużyny zamieniają się w asfaltowe szlaki.

Ongiś po tych bezdrożach chodził diabeł, zaglądał nocą w małe okienka i mówił dobranoc. Od-bierał sen ojcom. Przychodził w mundurze żandarma i groził ludzdom. Przebierał się w strój komornika i wyciskał ły wiejskim kobiecinom. Gdzie on dzisiaj się podział?

Różnie ludziska plotą. Ponoć przez jakiś czas błąkał się po werwetach sandomierskiej puszczy. Widziały go baby ostatni raz w janowskich lasach. I tam przepadł. A może powędrował w daleki, obcy świat?

ROMAN SADECKI

Koncert zegarów

Czy słuchaliście kiedyś tykania zegarów w absolutnej ciszy? Nie jednego, lecz kilku naraz? To rzadka okazja i nie łąda uczta dla ludzi wrażliwych. A stare zegary, których tworzenie celebrowano częstokroć latami, a nawet dziesiątkami lat, mają szczególnie piękny i indywidualny głos.

Łańcuckie zegary znane są z urody i barwy dźwięku. Nazbieraty już wiele zachwyty. I chyba te pochwalne uwagi, rzucane mimo woli przy okazji zwiedzania zbiorów spowodowały, że kustosz muzeum łańcuckiego, mgr Jerzy Żurawski, zapowiedział w ubiegłym roku ekspozycję zabytkowych zegarów jako „muzyczną oprawę” VIII Dni Muzyki Kameralnej. Słowo się rzekło i dotrzymało!

W dniu inauguracji Dni została otwarta wystawa zegarów pochodzących z trzech wieków od XVII—XIX włącznie. Pyszną się urodą obudowy, bajeczną robotą graverów, smycerów, złotników, brązowników i zegarmistrzów — w czterech salonach zamkowych. Piękniejszej oprawy nie mogły otrzymać! Jest ich 19, a stałym miejscem „po-bytu” są różne muzea województwa rzeszowskiego. I tak: Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, Historyczne w Sanoku, Muzeum w Krośnie oraz zamek łańcucki.

Z pięknie graficznie opracowanego katalogu dowiadujemy się — my laicy sztuki zegarmistrzowskiej — że i na Rzeszowszczyźnie działali sławni budowniczości zegarów. Do nich należał m. in. Józef Zangel z Łańcuta. Znane były również jako ośrodki zegarmistrzowskie Rzeszów, Jarosław, Krosno, Biecz, Dukla i Łańcut. Zegary polskie odznaczały się dużym bogactwem form. Najczęściej były to zegary „kafłowe”, okrągłe, kwadratowe lub wieloboczne, bogato zdobione grawernikami lub odlewanymi ozdobami.

Ogólnie — wystawa daje przegląd historii zegarów domowych od późnego renesansu (zegar wieżyczkowy z 1607 roku) do końca XIX wieku. „Przedstawicielem” mody tego okresu jest pseudorokokowy zegar przedstawiający narodziny Wenus.

Ostatnia, czwarta sala ekspozycji ma wspaniałą, swoistą akustykę. Próbuje posłuchać „rozmowy zegarów”, właśnie tam. Powstaje bajeczny koncert, prowadzony w piano pianissimo. Jedyny w swoim rodzaju!

Wystawa zegarów czynna będzie i po zakończeniu Dni Muzyki Kameralnej, lecz tyłko do końca maja br. Ale tę ekspozycję trzeba koniecznie zobaczyć.

MARIA C. GUZIÓLEK

„Wystawa zabytkowych zegarów” — Zamek-Muzeum w Łańcucie. Otwarcie: 12 V 1968 r. Organizator: Dział Artystyczno-Historyczny Muzeum-Zamku w Łańcucie. Opracowanie zegarów i katalogu: Stanisława Odrzy-wolska.

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY



Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy 13 bm. w Zakładowym Domu Kultury Krośnieńskich Hut Szkła w godzinach przedpołudniowych spotkała się ze swoimi czytelnikami NATALIA ROLLECZEK, autorka „Drewnianego różańca”.

W godzinach popołudniowych w czasie spotkania z młodzieżą o radiu i gazecie mówili red. J. WOŹNIAK, J. SIENKIEWICZ i E. GAJEWSKI.

Na zdjęciach: kapela Zakładowego Domu Kultury w Krośnie i zespół „Rybaltów”, które wzięły udział w spotkaniach. Fot. W. Niepokój



Fot. Marek Fido

Włodzimierz Wal

NIEWIDOMI I SERCE

Na Rzeszowszczyźnie jest ich około 600, z których 450 pracuje w Wojewódzkiej Spółdzielni Inwalidów Niewidomych „Start” w Przemysłu, obchodzącej w dniach 18 i 19 swoje piętnastolecie.

*

Przekraczałem bramę zakładu z dziwnym uczuciem. Czworobok piętrowych, murowanych budynków przy ulicy Sanockiego 3. Na zakładowym dziedzińcu zobaczyłem grupę mężczyzn siedzących na ławkach. Większość miała okulary, nie dlatego, że w tym dniu prażyło słońce, po prostu niewidomi noszą je w zasadzie bez względu na pogodę.

Znalazłem się nagle wśród ludzi tak bliskich sercu, których świata nie zawsze staramy się rozumieć, zwrócić na niego większego zainteresowania.

*

Tadeusz Wojciechowski znalazł się w 1947 roku w Armii Polskiej. Do wojska trafił jako ochotnik. Po ukończeniu Oficerskiej Szkoły Saperskiej we Wrocławiu został skierowany na rozbudowę i roznoszenie Górnej i Dolnej Śląska. Wraz z innymi przebywał akurat niedaleko Opolu, w lesie, gdy nieoczekiwanie nastąpiła eksplozja ukrytej miny. Skutek był tragiczny. Wojciechowski stracił całkowicie wzrok, lewą rękę i ma uszkodzoną prawą.

Czy odświeżyć dokładnie tamte bolesne chwile, przywoływać obraz zarzewia tego pocisku? — chyba nie warto. Młody żołnierz po kuracji w Dusznikach-Zdroju wraca do Przemysłu, gdzie dawniej mieszkał. Dla 1000-letniego miasta nad Sanem żywił zawsze szczególnie dużo sympatii.

Lecz takich jak Tadeusz Wojciechowski, którzy niekoniecznie w wyniku wojny utracili wzrok, było wówczas i w okolicy Przemysłu, i gdzie indziej sporo. W Rzeszowskim brakowało jed-

nak ośrodka, który by gwarantował niewidomemu zatrudnienie, opiekę, przywracał ludzką godność.

I właśnie przed 15 laty, za sprawą Polskiego Związku Niewidomych powstała idea zorganizowania w Przemysłu spółdzielni pracy przeznaczonej dla niewidomych. Do jej założenia przyczynił się w dużym stopniu również Tadeusz Wojciechowski, kierujący później działalnością Zarządu Okręgu Polskiego Związku Niewidomych.

— Zaczynaliśmy zaledwie od 15 osób — wspomina p. Wojciechowski — i w jakże trudnych warunkach. Spaliśmy na pożyczonych łóżkach, pod pożyczonymi kocami. Teraz mamy własny hotel, bardzo dobrą stołówkę. Coraz więcej naszych członków otrzymuje mieszkania z budownictwa rad narodowych i w spółdzielni mieszkaniowej, jak ostatnio Janina Rysz.

*

Spółdzielnia Inwalidów Niewidomych w Przemysłu dysponuje obecnie kilkoma zakładami pracy. Są one rozrzucone po całym mieście, lecz już w roku przyszłym rozpocznie się w Przemysłu budowę nowego obiektu spółdzielni, co całkowicie rozwiąże problem niewidomych w województwie rzeszowskim.

Teraz zlokalizowane są w różnych punktach miasta. Zakład szycielski — w głównym budynku Spółdzielni przy ulicy Sanockiego. W szczupłych pomieszczeniach niewidomi wykonują najprzeróżniejsze szcztoki: domowe, do czyszczenia podłóg, mechaniczne, do froterek elektrycznych. Przejmują je przedsiębiorstwa handlowe, a także Rzeszowska Fabryka Sprzętu Gospodarskiego w Rzeszowie, z którą przemyski „Start” kooperuje.

Przejdźmy do zakładów elektrycznych nr 1 i nr 2 usytuowanych przy ulicach Mickiewicza i

(Ciąg dalszy na str. 6)

Stanisław Rams

TEĎY CHODZIŁA ŚMIERĆ...

29 kwietnia

Wszystkie ziemskie sprawy, kłopoty zostały tam w dole, gdzie białą się domy mojego miasta, wije się rzeczka, dymi czarnym piropuszem śmieszna lokomotywa. Czytelnikowi jestem winien wyjaśnienie. Ta podniebna podróż stanowi początek trasy VII Samolotowego Rajdu Dziennikarzy i Pilotów. Ze wszystkich stron kraju: znad brzegów Bałtyku i z karpacczych ziem, z lotnisk nad Odrą i Wisłą, ze śląskich aeroklubów i lubelskich równin lecą Złiny, Jaki, Gawrony i Biesy na pierwsze spotkanie w Zamościu. Wczoraj wieczorem sięgnąłem na półkę z książkami, by odgrzebać wspomnienia. Myśl natrętna brzęczała mi jak trzmiel; w tamtych latach, w tym samym dniu i godzinie, żołnierz biegł na wrogie pozycje. Widzę jego spoconą twarz, rozwarłe w krzyku usta. Słyszę huk rozrywanych bomb, kanonadę armat, ryk czołgów i gniewny terkot cekaemów.

Przez całą noc, 1 Armia Wojska Polskiego w pościgu na zachód, prowadziła zaczepne działania w okolicy Berlina. O świcie, nasi z 4 Polskiej Mieszanej Dywizji Lotniczej osłaniają nacierające oddziały, rozpoznają ruch hitlerowców na drogach, atakują kolumny pancernie z czarnymi krzyżami. Linum, Neuruppin, Bradikow,

Wagenitz — to już nie polskie nazwy miast. Odwróciła się karta historii!

Czemu powraca ta uparta myśl, właśnie teraz, gdy tyle czaru wokół mnie: spokojne niebo, wiosenne słońce, szachownica pól, wioski w bukiecie sadów, kolorowe tynki miast?

— Nie śpij! — słyszę w słuchawkach głos pilota. — Od czerwonej wieży zaczyna się nasza walka.

30 kwietnia

Jak widzicie, robię sobie notatki. Na gorąco chwytam myśli, wrażenia, refleksje. Zapędzam je otówkiem na karty notesu. Staram się jakoś je ułożyć, nadać im logiczną wartość. Korei mnie, aby zgrabnym opisem ukazać wzruszające piękno sportu na niebieskich szlakach. Nie o tym wam opowiem. Ziemia zamojska. Po tych zielonych miedzach chodziła śmierć. Zagładała do okien wiejskich chat. Miała na sobie mundur hitlerowca.

Opowiedziała nam Anna Pawelczyk z Nielisza: — Miałam wtedy dwanaście lat. Wpadli do naszej wsi Kitów i zaczęli ludzi zabijać w domach. Resztkę spędziłam na łące przy mostku nad Łętownią. Przeważnie były to dzieci, kobiety i starcy. Nie uciekaliśmy, bośmy myślały, że

Niemcy tylko mężczyzn trąca. Trzymali nas na tej łące kilka godzin, na mrozie. Kleczeliśmy na śniegu i modliliśmy się głośno. Dzieci płakały. Zaczęli do nas strzelać. Zobaczyłam jak babcia moja przewróciła się. Kula uderzyła ją w twarz. Potem krzyknęła mamusia i też upadła, a ja wraz z nią. Schowałam głowę pod ciało matki. Inne kobiety i dzieci przewracały się na nas. Wtedy chyba zemdlałam. Gdy się ocknęłam, była noc, tylko psy na wsi strasznie szczekały. Na łące ludzie leżeli zartwi. Z wyjątkiem mnie i starej Bartoszczychy, która podniosła się na rękach i głośno zawodziła. Ale potem osłabła i umarła. Ja nie mogłam płakać. Zamordowali na tej łące 165 ludzi. Było to 11 grudnia 1942 roku.

W taki sam sposób rozprawiali się niemieccy faszyci z ludnością Białowody, Starego Zamościa, Krasnobrodu, Wirkowic i wielu innych miejscowości. Eichman, geniusz zbrodni, opracował plan, według którego przez Zamojszczyznę miał przebiegać wał ochronny, odgradzający Wielką Rzeszę od wpływów komunistycznych radzieckiego wschodu. Od jesieni 1941 roku, oprawy wysiedlają i mordują mieszkańców Zamojszczyzny. Polacy z Generalnego Gubernatorstwa mieli być stopniowo niszczeni biologicznie, wymordowani

lub wyrzuceni poza Ural. Akcją wysiedleńczą i pacyfikacyjną w Zamojszczyźnie objęto 294 wsie; zamordowano 40 tysięcy mieszkańców, w tym 15 tysięcy dzieci.

Powtórzę wam relację Bronisława Zycha o tym, jak umierało polskie dziecko. Zych pracował wówczas w parowozowni w Zamościu, niedaleko słynnej Rotundy, gdzie leżą prochy kilkunastu tysięcy Polaków. Był świadkiem, jak zimowego poranka 1943 roku zajęchały pod mury Rotundy trzy ciężarówki wypełnione ludźmi. Bici nahałami skazańcy szybko rozbiłali się do naga i pojedynczo biegli do wykopanych uprzednio rowów. Tam byli zabijani. W jednym z samochodów ukryła się pod pianką dziewczynka. Hitlerowiec ją odnalazł. Dziecko nie umiało się rozebrać. Kobiety pomogły jej zdjąć czerwoną bluzeczkę i koszulkę. Wraz z nimi zostało rozstrzelane.

Jan Małocha z Zamościa, przed aresztowaniem był portierem w niemieckim hotelu. Od śmierci uchroniła go żona gestapowca Margareta Tils, właścicielka hotelu. Oburzyła się srodze na jakiegoś Hansa: jak on śmiał bez jej zezwolenia zabijać niewolnika, który jest jej prywatną własnością. Gdy trzeba będzie zabić, potrafi to sama zrobić. Pomocników nie potrzebuje! Mąż też strzelał umie-

Otóż Małocha czekając na zabicie w celi Rotundy, widział technikę zbrodni. Około dwustu nagich ludzi płakało, modliło się, kobiety błagały o litość. Na środku placu paliły się bierwiona podsypane smołą. Czarny, gęsty, smrodliwy dym zastaniał niebo. Gestapowcy wyrwali z tłumy pojedynczo skazańców, strzelali z pistoletu w tył głowy. Inni oblewali umierającego jakimś płynem i wrzucali do ognia. Niektórzy byli ranni i palili się żywcem.

Na placu zamojskiej Rotundy, na miejscu kaźni, złożyliśmy kwiaty. Biły wierzby. Paliły się znicze. Przysięgaliśmy: dla ludobójców nie ma przebaczenia!

1 maja

Za kwadrans — odlot do Mińska Mazowieckiego. Władziu Boczkaj rozpęda tabun swoich koni. Nad lotniskiem bure chmury, horyzont w deszczu. Komunikat obiecuje na trasie burze. Wilga podała przez radio, że zawraca spod Gielczewa. Jak niepyszne powróciły z trasy dwa Jaki i Gawrony. Sport to nie wojna, po cóż szukać gwałtu?

Kolej na nas. Rozbieg. Lecimy. Nad lesistą doliną mgły parują jak nad bałią zielonej bielizny. Targa skrzydłem wiatr. Widzialność bliska zera. Ciemnieje szybko wokół naszego ptaka. Schodzimy z kursu; nie podoba nam się spotkanie z otwianym chmurzyskiem przekreślającym raz po raz złotą błyskawicą. Chwilami marzę o mecie w Mińsku.

Cóż mieli mówić ci, którzy lecieli wykonywać zadanie bojowe? Nie deszcz, nie burze były dla nich najgroźniejsze. Patrząc na zegarek. Właśnie o tej godzinie, 23 lata

Jest scena niezwyklej ekspresji w „Kariery Artura Ui”, gdzie Hitler i Goebbels mówią z małżeństwem Dullfeetów językiem Goethego: po bokach sceny dwa pobłyskujące fałszywą sławą wazrynowe wieńce — w środku szkaradne kwiaty mają przywołać na pamięć rozmowę ogrodową z „Fausta” i kolejność tam pojawiających się postaci. Wiersz biały, perwersyjnie oscylujący między wzniosłością a chamstwem zamyka ten podwójny dialog w konwencjach dramatu tragicznego i najpiękniejszej kpiny z klasycznej dwusylabowej stopy wierszowej o pierwszej sylabie krótkiej i drugiej długiej — czyli wiersza jambicznego, jakim napisany jest cały „Arturo Ui”.

Bardzo to piękna scena w przedstawieniu rzeszowskim i nader urodziwą kreację przynosi wraz z rolą **Danieli Makulskiej** — Betty: pozwoli sobie na stwierdzenie, że po raz pierwszy w „Arturze Ui” doszło do głosu aktorstwo, budowane nie na zewnętrznej drwinie i zewnętrznych środkach wyrazu, lecz na psychologii faktów, na narastającej ekspresji gniewu, wahań uczucia i nade wszystko rozumu. Połączona z późniejszym pogrzebem Dullfeeta i uwodzeniem Betty przez Hitlera w takt układów i rytów szekspirowskich, wybiła na plan pierwszy jej kruchą sylwetkę, słabą — acz w słabości silną, zbuntowaną, przytłoczoną koszmarem, próbującą protestu.

„Kariery Artura Ui” reżyserował **Stanisław Bieliński**. Wystawił ją w czasie, któremu nie wolno zapomnieć o historii; w czasie, dla którego historia stanowi groźne ostrzeżenie. Bieliński uciekł więc od parabol, czyli ludowego moralitetu, nie zostawił miejsca na przenośnię, na niedopowiedzenia; streścił karierę pana Ui dosłownie, starannie dbając przy tym o zewnętrzne podobieństwo postaci. Spektakl nie jest jednak ani groźny, ani śmieszny — jest poważny; przytłaczają go odniesienia do współczesności.

Znana to recenzentom prawda, że Arturo jako postać — to albo polityczny kamuflaż, zostawiający miejsce na refleksje ogólne, albo dosłowność z przewagą kabotyństwa, psychopatii, w której od początku do końca wiadomo, że jest ilustracją jedne-

go zbrodniczego życia, które z kolei zniweczyło miliony żyć ludzkich. W rzeszowskim przedstawieniu wybrano drugą możliwość — to jest kariera Hitlera, jego psychopatia, jego krąg „przyjaciół”, jego szaleństwa prymitywne a groźne. Groźne, bo na nie dojrzały politycznie grunt padające. Czynniono Brechtowi

Mimo te niekonsekwencje Brecht jest cudownie bezkompromisowy. Zarliwy. Ostry. Ma pazury i lubi pyskować. Jak przepiórka i jak Szekspir. Używa jambów elzbietańskich do mówienia o kalafiorach, a nie o kalafiorach, a nie o kalafiorach mu idzie. Ale nie lubi być dosłowny — bądź, lubi zostawić puste miejsca dla na-

jąc od nudnawej sceny deklamacji trzech bankierów, budował sceny coraz piękniejsze, że wymienię z nich choć trzy: ta z lustrem — sukces Jachowicza jako kabotyńskiego Ui i prowincjonalnego aktora Basila — Krzyżanowskiego, ta z sądu o podpalenie Reichstagu i ta z rozstrzelaniem Romy-Roehna; ta

Bielińskiego pyszny Goebbels, z otwartą paszczą — groteskowy w grozie kalektwa;

Czarnowski — straszny zewnętrznie jako ofiara procesu;

Krzyżanowski w swoich trzech wcieleniach, z których pierwsze było równie złe, jak dobre były dwa następne;

Erwan — tak bardzo Hindenburg w starczej bezradności byłego pruskiego junkra;

Mrocza i Rybezyński — bankierzy;

Raczkowski — obrońca i „obywatel wolno odchodzący”;

Strasznymi a bezosobowi dwaj panowie z obstawy;

I wreszcie **Daniela Makulska** — Betty Dullfeet, co z ogromną satysfakcją raz jeszcze powtarzam.

Na koniec zostawiłam sobie Jachowicza z jego morderczą rolą Artura Ui. Szacunek, jaki niesie z sobą jej dosłowna wielkość każe mi wybaczyć publicznie rzeczycielowi dosłowność, jaką przede wszystkim on narzucał całemu przedstawieniu. Wspominał historyczny, miał momenty godne aktora kina niemieckiego, kiedy gest i twarz czyniły słowo zbędnym.

Ambicja nie zerała tego teatru w ciągu ostatniego sezonu — tym lepiej, że na koniec dała znać o sobie. Cieszę się z tego przedstawienia, bo można je analizować w kategoriach artystycznych, bo szokowało widza, bo sięgnęło po wzory najlepsze, łącznie z axerowską koncepcją i niezapomnianą kreacją Tadeusza Łomnickiego.

Tak samo piękna była scenografia **Wojciecha Siecińskiego**, podporządkowana skrótowi i metaforze. Zaś oryginalna i drażniąca muzyka **Hansa-Dietera Hosalla**, nadawana z magnetofonu, rozdziła nieodzwonne crescendo rozwojowe ludzkich namietności.

Teatr im. W. Siemaszkowej: Bertolt Brecht — „Kariery Artura Ui”. Reżyseria — Stanisław Bieliński. Scenografia — Wojciech Sieciński. Muzyka — Hans-Dieter Hosalla. Oprac. muz. — Ryszard Gardo. Asyst. reż.: Henryk Gońda. Osoby: St. Bieliński, J. Adamski, W. Rybezyński, T. Mroczek, R. Krzyżanowski, I. Erwan, Z. Zaremba, J. Jachowicz, W. Mierzyński, H. Gońda, I. Angerman, Z. Kozień, A. Fornal, T. Czarnowski, A. Kosowski, L. Bieńkowski, J. Kulicki, D. Makulska, W. Bojadziejew, B. Werowski. Premiera 8 maja 1968 r.

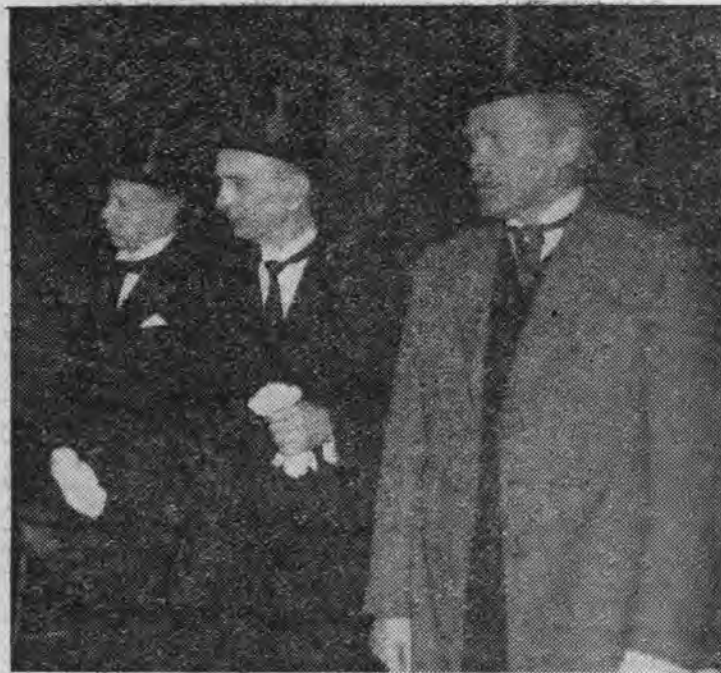
Krystyna Świerczewska

Zapiski z Artura Ui

zarzut, że nie dostrzegł ludu, komunistów, polityków postępowych. Nie dostrzegł — bo szło mu nie o obiektywną prawdę historii tego okresu, lecz o wynaturzone zwierciadło tej prawdy. O ostrzeżenie, demaskację i ośmieszenie.

Dlatego może przy dosłownym potraktowaniu „Kariery Artura Ui”, Ui — podrzędnego gangstera z Chicago jako historii dojścia do władzy Hitlera jest zaledwie fragmentem rzeczywistej historii, fragmentem okrojonym z politycznych znaczeń, opowieścią naiwną i jednostronną, w której groza znanych faktów klóci się z mizernym wymiarem postaci zastraszonego psychopaty, nader wąsko uzasadniając przy tym jego groźbę dla otoczenia. Jest zbyt nędzny, by stał się aż tak groźny, jak tego dowiodła historia.

Zdaje mi się, że wyraźniejsze zaznaczenie autonomii wątku gangsterskiego zostawiłoby widzowi konieczny luz na samodzielne dookreślenie historyczne: wzmagałoby groźbę nie przez dosłowność, lecz przez analogię. Byłoby bliższe samemu Brechtowi, który doskonale zdawał sobie sprawę z niedostatków tej parabol, tworząc ją wszak wtedy, gdy hitleryzm był w swoim triumfującym rozkwicie (1941 rok), a jego zakończenie, dopisane przez rok 1945 jeszcze nieznanne. Obawiał się, że nie do zniesienia będzie sceniczna identyfikacja trustu kalafiorowego z faszyzmem, choć i to teatr rozgrzesza... sam ją w końcu sugerował napisami, natrętnie pojawiającymi się po każdej scenie.



szych własnych widzeń świąta. Nie trzeba mu ich odbierać przez zbyt dosłowne widzenie.

Zarzut ktoś uczynił, że „Kariery Artura Ui” — to szereg scen. To dla mnie nie zarzut — to konieczność dramatyczna. Kto wie, jak rozdzielił ten dramat władzy, wie też, że scenami pozornie luźnymi widział go autor; wie, że włożył on w te sceny swoje marzenia, iż epika nie musi być rozlewna oraz nie musi pogardzać narastającym dramatem, lecz w zgodzie z sobą wprowadzać może owo narastanie akcji, wzrost napięcia, rytm. To znakomicie podchwycił Bieliński i poczyną-

ostatnia, bardzo przejmująca, choreograficznie niemal spreparowana, ostra o dojmującym wyrazie.

Dobrze, że Bieliński odciął się od szydliwej kpiny z języka i konwencji dramatu elzbietańskiego, bo przy tej dosłowności spektaklu rzecz by na pewno razila i była mało czytelna. Można się z nim zgodzić na wyrzucenie sceny z duchem Banka — Roehma. Gdyby jednak nie krzyczał o największym skandalu w Chicago, zapowiadając tym krzykiem jarmarczne widowisko, jakiego wszak nie zrobił...

Wielu aktorów mi się podobało:

temu, polskie myśliwce nawiązały walkę powietrzną z faszystowskimi Me-109. Jednego psobratra zrzucili na ziemię, inni zwiabli w chmurę. I Armia Wojska Polskiego, przy boku wojsk sojuszników, parła wciąż na zachód. Ily i Jaki bombardowały tego dnia hitlerowców w rejonie Spaatz, Hehenhauen, Rhinow. Wielka wojna, rozpętana przez hitleryzm, miała się ku końcowi. Palili się Berlin.

To było dawno. Dziś mamy inne kłopoty. Na swoim chucherku, szarpanym przez prądy powietrzne, lecimy na spotkanie z maziwiecką równiną. 30 maszyn rozgrywa konkurencję pod kryptonimem litery „E”. Oznacza to regularność lotu z dokładnością do pół minuty, identyfikację obiektów w terenie na podstawie zdjęć, lot po trasie łamanej według nakazanych kątów drogi geograficznej oraz precyzji lądowania.

2 maja

Zawszad natłok informacji. Wszystkie ważne. Potrzebne. Ciężkie. Każdy niemal fakt może stać się kanwą reporterskich przemysłów. W Zamościu na przykład zwiędzaliśmy Techniczną Szkołę Wojsk Lotniczych, pierwszą tego typu uczelnię, założoną tuż po wojnie. Gdzie ona powstała? Zgadnijcie. W koszarach; dawniej stacjonował tutaj pułk ułanów. W ogromnych pomieszczeniach, zamiast siewków i cisawych kobyłek stoją mechaniczne konie. Niektóre rozbebeszone, rozbrane na części, pochwytowane nieczym konina w taniej jatce. Młódź poznaje na tych stalowych bebechach sekrety nowoczesnych maszyn. Uczą się rozpoznawać ich schorzenia, usu-

wać dolegliwości odrzutowców, zapobiegać niedomaganiom.

Na wszystkich lotniskach w kraju pracują fachowcy wyszkoleni w tej właśnie uczelni. Czy to nie jest pasjonujący temat reportażu?

Dziś chciałbym jednak poświęcić trochę czasu lotnikom z 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”, który stacjonuje w Mińsku Mazowieckim. Bynajmniej nie dlatego, że okazali się dla nas niezwykle serdeczni i gościnni. Pasjonuje historia tej jednostki. Załóżkę pułku powstaje w lipcu 1943 roku jako 1 Samodzielna myśliwska eskadra lotnicza. Tutaj, na radzieckiej ziemi, w Grigoriewskojie uczą się latać młodzi robotnicy i chłopcy, uciekinierzy z Polski, piechurzy kościuszkowskiej dywizji.

Historyk o wielkich dniach, męstwie żołnierza, mówi zawsze z surową powagą. Opowieści wiarusów brzmiały bardziej wojskowo, odarte z blichtru słów. Wczorajem, mieliśmy w Mińsku spotkanie pod gołym niebem z lotnikami. Płk. Łazar, jeden z pierwszych pilotów tego pułku, tak nam opowiedział o sposobach werbowania:

Był Nowy Rok. Smutno siedział się w żołnierskich ziemiankach. Ktoś powiedział, że niedaleko od nas mieszka jakiś Jasiu, który umie grać na akordeonie. Tałdykin, ten co potem zginął pod Kołobrzegiem, posłał po niego kaprala.

— Umiesz ty grać po polsku? — pyta dowódca.

— Umie! — i na dowód prawdy zagrał rzewne tango.

— Może coś weselszego! — domaga się Tałdykin. — Bardziej żywo, z sercem!

Domorosły muzykant machnął takiego walczyka, że hej!

— Szybciej nie potrafisz grać? Jasiu przyspieszył rytm. Gruchnęła w ziemiance siarczysta melodia w rytmie polki.

— Dobry jesteś! — pochwalił Tałdykin. — Dajcie mu mundur. Od dziś będzie on lotnikiem.

W taki to sposób Jasiu muzykant został w szeregach polskich lotników. Radzieccy instruktorzy uczą ich latać i bić się z wrogiem. Uczą się pośpiesznie, dniem i nocą; tam, w ojczyźnie faszyci, mordują rodaków! Palą się krematoria w Oświęcimiu, giną polskie dzieci w Majdanku, dymią stopy zamajskiej Rotundy.

Jest coraz więcej tych Jasiów. Eskadra lotnicza kpt Czesława Kozłowskiego przechodzi na etat pułku. Po roku intensywnego szkolenia otrzymują pierwsze zadanie bojowe. Grupa Jaków dowodzona przez ppłk Jana Tałdykina współdziałała z 3 Pułkiem Lotnictwa Szturmowego. Niszczą w rejonie Warki kolumnę hitlerowskich czołgów. Ten chrząst bojowy pod Warką ma historyczne znaczenie: po raz pierwszy w walce o wyzwolenie ojczyzny bierze udział również ludowe lotnictwo. Odtąd 23 sierpnia jest obchodzone jako Święto Ludowego Lotnictwa.

Potem była Warszawa, Bydgoszcz, Mirosławiec, Kołobrzeg, operacja berlińska. Strącają hitlerowskie maszyny, niszczą wroga na ziemi, współdziałają z 1 Armią Wojska Polskiego, nacierającą na Zachód. Gina bohaterka śmiercią Kozłowski, Tałdykin, Gościłmiński, Broch, Koronin, Kisielew i inni lotnicy 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”.

Pułk ten stanowił część składową Polskiej Mieszanej Dywizji

Lotniczej. Świeżo wyszkoleni lotnicy generała Aleksandra Romeyki mieli przeciwko sobie, w dniach operacji berlińskiej, elitarne związki 6 Grupy Luftwaffe, eskadry asów „Udet”, „Goering”, „Hindenburg”. Dla obrony Berlina hitlerowcy ścignęli około 2 tysiące samolotów. Zwycięstwo nie przychodziło łatwo. Myślę właśnie o tym grzebiąc w swoich szpargach. Pod datą 2 maja zapisałem: w tym dniu, 23 lata temu, Rada Najwyższa ZSRR w swej uchwałie nadała Polskiej Mieszanej Dywizji Lotniczej miano „Pomorskiej”. Za udział w walkach o Wał Pomorski. W rejonie Berlina bili się więc jako 4 Pomorska Dywizja Lotnicza. Właśnie na Pomorze jutro lecimy. Na Wał Pomorski, gdzie Polacy stworzyli największą i najbardziej krwawą bitwę w II wojnie światowej.

3 maja

W sercu pomorskiej puszczy, nad uroczym jeziorem leży cicha wioska Zdbice. Miejscowi leśnicy urządzili Izbę Pamiętek pod nazwą „Las świadkiem walk o Wał Pomorski”. Trafiliśmy na jej otwarcie. Ekspozycjami są tu kawałki sosen, konary dębów, białe pnie brzoź; poronione, splakane żywicą, potrzaskane pociskami, skręcone od wybuchu bomb. Fotografie, plansze, rysunki mówią do wyobraźni: patrzcie, las wciąż cierpi! Nie zapominaj tego piekła z 1945 roku.

Na jednej ze ścian wisi odpis telegramu: „Reichsführer Himmler... stop. Zameldować, jak mogło nastąpić przełamanie dobrze rozbudowanego Pommernstellung... stop. Hitler”.

Wariat z waskiem się dziwi. Hitler nie pojmuje tej klęski. Ale przecież i my, po tylu latach, nie pojmujemy swego zwycięstwa. Tędy przecież nie można było przejść. Są granice ludzkiego męstwa!

Budowali tę twierdzę z betonu i stali od 1935 roku. Ciągłe ją doskonalili. Rozpoczęła się ona gdzieś pod Słupskiem, wlokła się groźną linią umocnień w stronę Szczecinka, Drawska, aż gdzieś po Międzyrzecz na Ziemi Lubuskiej. Fantastyczny twór wojskowej inżynierii. Genialne wykorzystanie warunków terenowych. Rejon Waleza, Zdbice, Nadarzyce, Jastrowie, Podgaje; tedy przechodziło się do piastowskiego Kołobrzegu. Tutaj, w każdej faldzie terenu, w każdym oświetleniu podziemnych fortyfikacji czyhała śmierć. Poległo w kilkunastodniowej bitwie ponad 8 tysięcy polskich żołnierzy.

— Proszę spojrzeć na te bunkry! — zwraca uwagę ppłk Bolesław Botyński, jeden z uczestników zbiorowego bohaterstwa tamtych dni. — Grubość żelbetonowych murów przekracza półtora metra. Takie punkty oporu miały idealnie rozbudowany system podziemnych połączeń, magazynów żywności, ogromne składy amunicji, pomieszczenia dla obsługi. Składały się z trzech kondygnacji. Dysponowały nowoczesnym uzbrojeniem, łącznością telefoniczną, światłem elektrycznym, pełnym komfortem wyposażenia.

Chodzimy po ogromnym cmentarzystku, zaglądamy do podziemi, penetrujemy okolice. Przez pola minowe, zasieki, bagniska, pułapki wiodła droga do brzegów pol-

(Ciąg dalszy na str. 6)

Dyskusji o młodzię mieliśmy w ostatnich latach pod dostatkiem, niestety, raczej zaciemniały one obraz młodego pokolenia niż go wyjaśniały. Ci, którzy oskarżali młodzię o bierność, apolityczność, konsumpcyjne postawy, mogli się przekonać w ostatnich wydarzeniach, jak dalece nieprawdziwe były ich sądy. Nie zaangażowania zabrakło w tych wydarzeniach, zabrakło rozsądku i politycznej dojrzałości.

Pytanie, jak to się stało, że część młodzię, której wszystkie szanse, nadzieje i perspektywy wiążą się z postępnymi socjalizmu w naszym kraju, dała się wciągnąć w nieodpowiedzialną awanturę polityczną, jest jednym z najważniejszych pytań, na które musimy dziś sobie i młodzię odpowiedzieć. Nie wystarczy wskazać inspiratorów i organizatorów wydarzeń w środowiskach akademickich, ujawnić ich ukryte sprężyny — trzeba podjąć na nowo dyskusję i dialog z młodzię, ten dialog, który zapowiedział w swym przemówieniu na spotkaniu z aktywem warszawskim Władysław Gomułka. Nie było miejsca na dialog i rzeczową dyskusję, dopóki trwało zacietrzewienie części młodzię. Gdy ucichły emocje — przysłała taka pora. Poszła w górę cena rozsądku i przemyślanego, świadomego zaangażowania.

Kiedy mówimy o rozsądku, mamy na myśli nie ów zimny, mieszczański zmysł obliczenia, co się bardziej w życiu opłaca. Takiego rozsądku u młodzię nie chcemy. Myślimy o racjonalnych podstawach zaangażowania, myśleniu jasnym i przewidującym, myśleniu o rozsądku politycznym, na którym muszą się opierać działania i wybory ideowe współczesnego człowieka. Myślimy o tym rozsądku, który każe liczyć się z konkretnymi i przewidywać skutki podejmowanych działań.

Dlaczego tego rozsądku części młodzię zabrakło, dlaczego zabrakło dojrzałości i dyscypliny myślenia politycznego? Aby odpowiedzieć na te pytania, musimy przeanalizować nasz system wychowawczy, wskazać na istniejące braki i niedostatki pracy organizacji młodzię, systemu informacji i propagandy. Na pewno nie ma szkód poczynił i pewien rodzaj publicystyki, i brak odwagi wychowawców w podejmowaniu dialogu z młodzię. Przez długie lata mieliśmy do czynienia z uporczywymi próbami spychania młodzię w niedojrzałość, odbierania jej wszelkiej samodzielności działania i decydowania, wręcz odsuwania jej od spraw istot-

nych, podsuwania namiastek, a w odniesieniu do części środowisk akademickich — i z bardziej jaskrawymi i wyrafinowanymi formami duchowej demoralizacji.

Młodzię nie „przechodzi do nikąd” i nie „przechodzi do nikąd” — jak twierdzi jeden z jej uniwersyteckich wychowawców, propagujący tezę o relatywności kodeksów postępowania i przypisaniu ich do określonych środowisk społecznych i ich interesów. Młodzię

interesie społecznym, a także tych samych wielbicieli motoryzacji, gdyż inaczej zapanałaby groźna anarchia. Dlatego młodzię musi się uczyć podejmować decyzje i przewidywać ich skutki, dlatego tak wielkie znaczenie trzeba przypisywać szerokiego wprowadzeniu młodzię w arkana działalności obywatelskiej, do różnych ogniw samorządowych i przedstawicielskich, gdzie będzie mogła sprawdzać swe zaangażowanie

Rozsądek i rozczarowanie

dział kształtowana jest przez rzeczywistość społeczną i polityczną, która ją otacza, jej oblicze kształtują rodzice i wychowawcy, fałszywe lub prawdziwe autorytety. Cokolwiek byśmy dziś powiedzieli o inspiratorach wydarzeń, nie zdejmując to z nas odpowiedzialności za poziom i zasób umiejętności politycznego myślenia, jaki reprezentować będzie młode pokolenie. Dziś nie wystarczy „być za socjalizmem”, nie wystarczy samo zaangażowanie. Młodość ma ostry wzrok, sędzi surowo i reaguje mocno na wszystkie niedostatki naszego życia społecznego, ale ta wielka jej wrażliwość czy nawet nadwrażliwość nie może obracać się przeciw niej, nie może spychać jej w stronę awanturników politycznych.

Ostatnie wydarzenia wykazały w sposób oczywisty naturalną przynależność młodzię do ideałów socjalizmu. Takie pojęcia, jak demokracja, równość i sprawiedliwość społeczna, weszły nie trwałe do jej serc i umysłów. Dlatego tymi samymi hasłami, chociaż podkładając pod nie zgoła odmienną treść, posłużyli się inspiratorzy zająć. Nie musimy dziś zadawać pytań o kierunek zaangażowania — został on przez młodzię określony. Ale na tym nie kończy się i kończyć nie może edukacja polityczna młodego pokolenia. Nie wystarczy być za socjalizmem, tak jak nie można być za motoryzacją. Domaganie się nieograniczonych, abstrakcyjnych swobód przypominałoby takich fanatycznych wielbicieli motoryzacji, którzy patrząc z punktu widzenia indywidualnego kierowcy domagaliby się zniesienia koniecznych ograniczeń ruchu drogowego, które przecież muszą istnieć w

jego patriotyzm, swoją dojrzałość w działaniu. Od spraw swego podwórka, szkoły i uczelni musi ona przechodzić na szersze tereny działania — wioski i miasta, gospodarki i administracji, wreszcie spraw kraju i społeczeństwa.

Istniejące obecnie możliwości sprawdzania się młodzię w działaniu nie są na pewno wystarczające, musimy stworzyć nowe przestrzenie, w których głos i opinia młodzię, kolektywu młodzięwego, będą miały realne, a nie tylko formalne znaczenie. Młodzię musi się uczyć hierarchii wartości, podstaw wyboru, konieczności ograniczeń, które nakłada dobro całego społeczeństwa.

Rozsądek i zaangażowanie nie są sobie przeciwstawne. Potrzeba zaangażowania wynika nie tylko z naturalnej skłonności młodzię. Jest ona także potrzebą polityczną, dyktowaną przez nasz patriotyzm, nasze poczucie odpowiedzialności za losy kraju. Bezpieczeństwo i pewny rozwój naszego kraju nie zostały nam dane automatycznie i raz na zawsze. Wywalczyliśmy je w przeszłości i codziennie musimy walczyć o nie od nowa — pracą i właśnie politycznym zaangażowaniem.

Nie musimy dziś żądać od

młodzię wyrzeczeń i poświęceń, które były udziałem pierwszego młodego pokolenia Polski Ludowej. Ale to nie może nam przestąpić nowych i wyrastających problemów, które właśnie tego zaangażowania będą wymagać. Angażować się to dziś znaczy także ryzykować w imię słusznej sprawy. W zwalczaniu przejawów zła, klik i dętych autorytetów nieraz wypada podjąć ryzyko wobec sił, których chwilowa przewaga może boleśnie dotknąć. Angażować się, to znaczy nie godzić się ze złem. Zaangażowanie jest wielką siłą młodzię, to właśnie ono może przybliżyć nam i przyspieszyć ten kształt naszego bytu, do którego drogę wskazuje nam partia i za którym opowiedzieliśmy się 23 lata temu.

Na drodze tego zaangażowania nie mogą stać niechęć i uprzedzenia pokutujące jeszcze w niektórych kręgach starszego pokolenia, nieufność wobec młodzię, muszą być zniszczone sztuczne bariery w awansowaniu młodzię, troskliwie wznoszone w niektórych środowiskach w obronie własnych interesów. Z przedmiotu i obiektu dyskusji młodzię musi stać się jej partnerem. Potrzebny jest nam rozsądek i potrzebne zaangażowanie, potrzebne nowe, twórcze spojrzenie na wszystko, co nas otacza, jasność w myśleniu i odwaga w działaniu. Te wszystkie wartości wnoszą z sobą młodzię, są one obecne w społecznym krwioobiegu, nie zawsze tylko znajdują okazję do ujawnienia się i sprawdzenia w działaniu.

Dlatego zależeć nam musi na zaangażowaniu przez pracę — bo ona nasz kraj wzbogaca i stanowi o jego sile — ale także na zaangażowaniu sprężynnym z rozsądkiem w polityce. Problemu przyszłych losów naszego kraju nikt nie rozwiąże za nas, na młode pokolenie przypada obowiązek przejęcia steru. Uczmy ją patriotyzmu, zaangażowania, ale też i rozsądku. Od ich politycznej dojrzałości zależeć będzie socjalistyczna przyszłość naszej ojczyzny.

H. LEŚNICKA

Wystawa poświęcona Marilyn Monroe

W nowojorskiej galerii „Sidney Janis” otwarta została wystawa dzieł poświęconych zmarłej tragicznie przed pięć laty Marilyn Monroe.

Ekspozycja — mająca na celu ukazanie zjawiska fascynacji postacią i sztuką nieżyjącej aktorki — obejmuje 50 dzieł 36 artystów z najróżniejszych krajów. Zgromadzone rzeźby, obrazy, prace graficzne utrzymane w różnych konwencjach artystycznych.

Ozdobą wystawy jest — jak podkreśla prasa — akwarela stanowiąca autoportret aktorki.

więcej produktów Spółdzielni Inwalidów Niewidomych z Przemysłu Wędruje na obie półkule, w tym do krajów najbardziej rozwiniętych ekonomicznie

W zakładzie elektrycznym zastają m. in. Tadeusza Wojciechowskiego, pracującego w kontrolach technicznej na stanowisku brakarza. Sprawdzania sznurów dokonuje on za pomocą sygnałów dźwiękowych, a bezpieczeństwo pracy, „niekopięcie” przez prąd, zapewnia niewidomemu transformator, przez który prąd przepływa.

A po pracy? Ulubioną i najbardziej powszechną rozrywką tej kategorii ludzi są szachy, muzyka, wycieczki turystyczne. W należycie wyposażonej świetlicy Spółdzielni słucham działającego aktywnie zespołu muzycznego, kierowanego przez Zdzisława Strępkę. Prawdziwym sukcesem tego kolektywu artystycznego było zwycięstwo na ogólnopolskim festiwalu zespołów muzycznych niewidomych w Gdańsku II miejsca oraz IV we Wrocławiu. Istnieje żeński zespół wokalny. Przybiera ciągle gier towarzyskich, a przede wszystkim podręczników pisanych sys-

temem Braille'a. Nad zapewnieniem godziwej rozrywki, warunków stałego rozwoju, kształcenia i wypoczynku czuwa kierownictwo i rada Spółdzielni.

Dziś i jutro w Wojewódzkiej Spółdzielni Inwalidów Niewidomych w Przemysłu trwają uroczyste obchody XV-lecia. Spotkanie gości i niewidomych, zwiedzanie zakładów, przemówienia, wręczenie nagród i odznaczeń zasłużonym członkom i pracownikom. Część artystyczna, zabawa i wycieczka w Bieszczady. Jubileusz kryje oczywiście sens głębszy. Nie sile się na szumne słowa, które oddałyby, które odzwierciedliłyby bogaty dorobek zakładu, troskę ludowego państwa nad kalekami. Tu gość się zaakcentować, że organizacja opieki nad niewidomymi w Polsce należy do najwyższych w świecie, formy rehabilitacji tych osób są godne upowszechniania.

Niech zatem przemyski jubileusz przyczyni się do dalszego zbliżenia niewidomych do ludzi zdrowych.

WŁODZIMIERZ WAL

Tędy chodziła śmierć...

(Ciąg dalszy ze str. 5)

skiego Bałtyku. Nie powiedziało się dotąd pełnej prawdy o tej polskiej bitwie. Nie pisała o tym rzetelnie prasa. Taktyczne przemilczania stosują niektórzy pamiętnikarze. Komu są potrzebne nastrojowe, zachowate obrázky o lawinie ognia armatniego, paradzie wozów pancernych, huraganie katusz? Tu, gdzie było najtrudniej, polski żołnierz szedł na bunkry niemal z gołymi rękami. Zdobywał ten teren za pomocą karabinu, często białą bronią. Snieżyca ograniczyła działanie lotnictwa. Artyleria, kolumny pancerne ugrzęzły w zaspach pod Bydgoszczą. Brakowało amunicji, chleba. Trzeba kiedyś zdać światu sprawę, jak rzeczywiście było w tamtych dniach. Bo bitwa toczyła się okrutna. Gdzie są filmy, prawdziwe filmy o męstwie Polaków na Wale Pomorskim? Ile mamy wierszy, poematów, powieści o prawdzie tamtych dni?

Podgaje, wieś wśród lasów. Niedawno stanął tu pomnik ku czci męczeństwa. 32 polskich żołnierzy nie miało się czym bronić. Brakło amunicji i dostali się do niewoli. Skrepowani przez hitlerowców kolezastym drutem, poddawani byli średniowiecznym torturom. W końcu wrzucili ich do stodoły, obalili ropą i podpaliili. Spłonęli żywcem.

— Czy wiecie, że do niedawna nie wolno było o tym publicznie wspominać? — informuje przewodnik. — Komuś tam w górze ubzdurało się, że o takiej hańbie nie wolno światu mówić.

O czyjej hańbie?

5 maja

Pułkownik Antoni Chojcan, kierownik rajdu, zapowiedział pół godziny opóźnienia w rozgrywkach samolotowych konkurencji na ostatnim etapie. Gdzieś tam na trasie, pod Leszmem, huczy ponoć zawierucha. Czekamy na ostatni komunikat meteo. Główny nawigator imprezy ppłk Bolesław Łabno ma nieprzyjemną minę. Leży na trawce lotniska i gawędzi w koleżeńskim gronie. Wiosenne słońce solidnie tu przygrzewa. Uprzejmy wiatr goni zawzięcie chmury z nieba, poza płaski horyzont. Piloci w kąpielówkach kreślą mapy, czynią ostatnie poprawki w obliczeniach.

— 5 maja lotnicy Romeyki zakończyli działania wojenne — wspomina któryś leniwym głosem. O tym warto pamiętać chłopcy!

— Nie umiemy pisać o bohaterstwie Polaków. Polscy lotnicy chyba w decydującym stopniu przyczynili się do zwycięstwa w bitwie powietrznej o Anglię. To Polacy wykryli, a potem bombardowali zakłady słynnych rakiet w Peenemünde, w okolicy Swinoujścia. Oni skutecznie niszczyli tajemniczą broń, latającą bombę Hitlera, nie dopuszczając ich do granic Londynu. Polskie dywizjony atakowały wroga pod niebem Francji, Belgii, Włoch, Grecji, Jugosławii, na szlakach czarnego ładu. Na Halifaxach i Liberatorach docierali do kraju zrzucając broń powstańcom Warszawy, ekwipunek wojenny partyzantom w lasach. Polskie lotnictwo stanowiło 65 procent całego niebrytyjskiego personelu RAF. Dwa tysiące polskich lotników poniosło bohaterską śmierć na obczyźnie. Wielu zostało rannych lub poszło w niewolę. Polacy na swych stalowych maszynach raz na zawsze ugruntdowali sławę nieustraszonych. Pod koniec wojny Polskie Siły Powietrzne w Wielkiej Brytanii liczyły ponad 14 tysięcy ludzi.

7 maja

Wrocław. Od dwóch dni siedzimy w pięknej stolicy Dolnego Śląska. Powitano nas kwiatami. Serdeczność wrocławian wrzuciła nas do głębi. Jaka szkoda, że już kończą się cudowne przeżycia samolotowej imprezy!

8 maja

Lecimy na przełaj przez Polskę do Rzeszowa. Powracamy na macierzyste lotnisko. Piękne są z lotu ptaka mazowieckie równiny. Cudowny jest powietrzny rejs nad lasami Pomorza, pojezierzem ziemi czaplinskiej, domostwami miast śląskich, zielonymi pagórkami Kielecczyzny. Najmocniej jednak wzrusza nasza ziemia rzeszowska. Tu jest najpiękniej.

STANISŁAW RAMS

Niewidomi i serce

(Ciąg dalszy ze str. 4)

Piotra Ściegiennego. Specjalnością tych placówek są sznury przyłączeniowe do żelazek elektrycznych, produkowanych w Nowej Dębie.

— Z tymi sznurami, to cała historia — opowiada oddany Spółdzielni jej prezes, Tomasz Berbeka.

— Jak może niewidomy wykonać takie sznury — oponowano.

— A może jednak, pozwólcmy i zgodźmy się — zdecydował sekretarz KW partii w Rzeszowie, inż. Janusz Brych.

Niewidomi nie zawiedli. Miejszczanie dostarczają dla zakładów metalowych w Nowej Dębie 70 tysięcy starannie zrobionych sznurów z wtyczkami do żelazek. Bardzo prawdopodobne, iż niedługo odbiorcą sznurów będą także podobne zakłady w Poniatowej.

Spróbujmy jednak odpowiedzieć, jak istotnie człowiek pozbawiony wzroku może wytwarzać takie przedmioty? Tym bar-

dziej że z przemyskiej Spółdzielni bardzo wielu pracowników nie widzi wcale, niektórzy natomiast posiadają zaledwie minimum wzroku. Otóż w pracy niewidomego liczą się nade wszystko palce, zmysł dotyku. Ponadto i co, co wypływa z psychiki inwalidy, a mianowicie głębokie poczucie ambicji, żądza udowodnienia, że jest on przydatny i że potrafi pracować tak, jak człowiek zdrowy, a może i lepiej... Jak stwierdza prezes Berbeka, inwalida wzrokowy jest bardziej wydajny, emocjonalnie przeżywa swoją pracę i z racji kalectwa mocno przywiązuje się do zakładu.

Swoistym potwierdzeniem wysokiej jakości sznurów z Przemysłu może być ta ciekawostka: Swego czasu bawił w Szwajcarii inż. Leszek Lichowski ze Spółdzielni. W witrynach sklepowych, obok żelazek Philipsa, zauważył również żelazka z Rzeszowskiego, a więc ze sznurami znanymi z Sanu. Jakież miłe rozczarowanie. Nawiasem mówiąc, coraz

Tarnobrzесkie zagłębie literackie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Później, dzięki pośrednictwu przewodniczącego, rozmawiamy ze Stanisławem Tęczą — przyjacielem Piętaka z lat młodości. Znowu próbujemy dociec „kto jest kto” w autobiograficznej powieści pisarza. Okazuje się, że pod nazwiskiem Stanisława Chmury został tam uwieczniony mój rozmówca. Z książkami Piętaka w ręku staramy się ustalić szczegóły topograficzne, odnaleźć pierwowzory postaci literackich, skonfrontować ich losy z losami bohaterów „Młodości Jasia Kune-fata” i „Białowiejskich nocy”. Okazuje się, iż książki Piętaka, mimo kamuflażu literackiego, są wierną kroniką wydarzeń z życia Wielowsi, portretami przyjaciół, krewnych i sąsiadów poety.

Stanisław Tęcza przypomniał sobie okres swojej współpracy z Piętakiem w amatorskim zespole teatralnym w Wielowsi. — Mieliszmy bardzo ambitny repertuar — mówi. Graliśmy m. in. „Sędziów” Wyspiańskiego, „Turonia” Zeromskiego... Wielkie wrażenie wywołało u nas przedstawienie „Białej Syberii”, nie pamiętam już jakiego autora. Ludzie wychodzili z przedstawienia zapłakani i przejęci. Wszystkie sztuki reżyserował Stach.

Z rozmowy wynika, że literackie i poetyckie uzdolnienia u Piętaka nie były przypadkowe. Pochodził już z takiej rodziny — mówią moi informatorzy. Był krewnym Ferdynanda Kurasia, który również mieszkał w Wielowsi. Próbowaliśmy w piórze także ojciec poety, ciesza Karol Piętak (pisał pamiętniki) i stryj Franciszek, który zginął w czasie I wojny światowej. Karol Piętak interesował się twórczością literacką syna, był jego pierwszym krytykiem, z wielką dumą mówił w Wielowsi o literackiej karierze Stanisława. Może liczył na to, że syn zrealizuje jego niespełnione marzenia twórcze?

Stanisław Tęcza opowiada również o społecznej postawie pisarza. Przed wojną żywo współdziałał z ruchem „wiciowym”, bezpośrednio po wojnie wraz z bratem Franciszkiem przeprowadzał reformę rolną w rodzinnej wsi. W jednym dniu na dom Piętaków i na dom mojego rozmówcy napadła banda NSZ, by ukarać komunistów. Stanisława, który został przez przyjaciół uprzedzony, NSZ-owcy nie zastali w domu. Stanisław Tęcza zaś zdołał ukryć się na strychu. Jedyną ofiarą napadu był Franciszek Piętak, którego bestialsko pobito.

*

O tym, że Wielowieś pamięta o Piętaku świadczy piękny nowy gmach szkoły nazwanej jego imieniem. Wiele skomplikowanych starań i trudu włożyli mieszkańcy wsi, żona poety i jego przyjaciele pisarze, by ten okazały pomnik pamięci stanął niedaleko od jego rodzinnego domu. W tej szkole zorganizowano w jednym małym pokoiku izby pamiętek po Piętaku. Ze wzruszeniem oglądam jego pióro, zegarek, okulary, fotokopie listów do przyjaciół, artykuły poświęcone jego twórczości i zdjęć. Z portretu na ścianie spogląda z zadumą, z przetrzęskanym łokciem czarnych włosów opadających na czoło

autor „Młodości Jasia Kune-fata”. Jakby przed chwilą wstał od swojego szerokiego biurka, z wygodnego fotela, które również znajdują się w tym małym muzeum. Piękne, słoneczne klasy nowej szkoły kojarzą się w mojej pamięci z trudną drogą do wiedzy jej patrona. Ileż wyrzeczeń, zdrowia, ogromnego trudu kosztowało go zdobycie wykształcenia. Ile razy przerywał studia, wracał z Warszawy i Krakowa ze zrujnowanym zdrowiem, wynędzniały, bez grosza. Dopiero sprzedany przez ojca kawałek gruntu lub krowa pozwalały mu na ponowne podjęcie nauki. Nie można było zbudować mu piękniejszego pomnika.

*

Tradycje literackiego zagłębienia tarnobrzесkiego nie kończą się na Stanisławie Piętaku. Z pobliskich Wielowsi Wrzaw pochodzi Julian Kawalec, tak samo jak Piętak zafascynowany chłopskimi losami nadwiślańskiej równiny. W Tarnobrzegu urodził się Juliusz Kydryński, krytyk teatralny i eseista. W najbliższym czasie ukazuje się jego książka o rodzinnym miasteczku. W tymże Tarnobrzegu para się twórczością literacką kilku jeszcze ludzi. Nie wyemigrowali stąd, jak inni do większych ośrodków kulturalnych w poszukiwaniu środowiska twórczego i bardziej sprzyjających warunków do twórczości pisarskiej. Przygarnęła ich „siarka”, dała pracę, więc zostali. Stanisław Orzeł, członek rzeszowskiego Oddziału ZLP jest autorem trzech książek („Pod Łysicą”, „Kamienista droga”, „Chmurne lata”), obecnie wydaje czwartą pt. „Zbój świętokrzyski”. W małym domku przy ul. Mickiewicza rozmawiamy o jego planach twórczych. Jak wielu pisarzy mówi o nich dość niechętnie, nie chce zapeszać sprawy. Dowiaduję się jednak, iż pisze obecnie powieść o problemach zagłębienia siarkowego. Interesuje go budzenie się świadomości robotniczej u dawnych chłopów z okolic Tarnobrzega pracujących obecnie w kombinacie i kopalniach. Z tymi stronami jest związany od 1945 roku.

Jan Łysakowski, po swoich dwóch książkach o tematyce żołnierskiej („Za górami, lasami” i „Dowódca kompanii”) ogłasza sporo opowiadań, m. in. w „Widnokręgu”, związanych również tematycznie z „siarką”. W najbliższym czasie ukazuje się jego nowela pt. „Lewy brzeg”, za którą otrzymał nagrodę w konkursie ogłoszonym przez PAX. Wkrótce chyba pojawią się na półkach również dwie nowe książki Wiesława Koszeli — powieść „Gorzkie czereśnie” i drugi, po znakomitym debiucie poetyckim („Drewno moje powszednie”) tomik wierszy. Interesują go również, jako pisarza, sprawy zagłębienia siarkowego, chce im poświęcić następną książkę.

W pobliskim Żabnie mieszka i tworzy Stefan Gębala a w Grębowie pracuje, jako nauczyciel w Liceum Jan Sokół, autor wspomnieniowej książki z okresu okupacji, mówiącej o walkach Batalionów Chłopskich („Konspiracja nad Wisłą i Sanem”).

Można by snuć długie rozważania o tym, dlaczego ten właśnie region wydawał i wciąż wydaje tylu ludzi pióra, dlaczego tradycje literackie i kulturalne są tu tak żywe i silne... Dlaczego jeszcze tylko Łańcut w naszym województwie obok Tarnobrzega jest podobnym zagłębieniem literackim. Na pewno istnieje ścisły związek między aktywnością kulturalną i twórczą tych regionów, a postępową, radykalną świadomością społeczną ich mieszkańców. Trzeba pamiętać, że tak jak Tarnobrzeg jest znany z Republiki Tarnobrzęskiej, Kraczkowa koło Łańcuta słynie z tego, iż w niej podpisano Deklarację Praw Młodego Pokolenia.

Wydaje mi się jednak, iż polityka kulturalna powiatu nie wykorzystuje dostatecznie tego atutu miejscowych tradycji literackich i kulturalnych. W bibliotece gromadzącej w Wielowsi znalazłem tylko 6 utworów Stanisława Piętaka, nie było ani jednej książki Orła i Łysakowskiego, zabrakło także Kurasia. Jak zdążyłem się zorientować, nie organizuje się w bibliotekach żadnych prelekcji na temat tarnobrzесkich pisarzy i ich miejsca w kulturze narodowej.

Wiadomo, iż na tym terenie, który przeobraża się dzięki siarce z dnia na dzień w sposób żywiołowy; gdzie rozsypana jest w proch pod wpływem industrializacji wszystkie tradycje wiejskiego obyczaju, moralności i lokalnego patriotyzmu, niezbędnie potrzebny jest jakiś czynnik integrujący. Właśnie uzasadniona dumą z własnych dzieł, z pięknych tradycji literackich i kulturalnych mogłaby być jednym z czynników cementujących w jednolitą całość społeczeństwo nowego Tarnobrzega. Może te wartości potrafi umiejętnie wykorzystać nowo powstające Towarzystwo Miłośników Ziemi Tarnobrzęskiej, które w programie przewidziało taki kierunek działalności. Sądzę również, że coroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy dają znakomitą okazję do większej niż dotąd popularyzacji osiągnięć twórczych i tradycji kulturalnych powiatu tarnobrzесkiego. Warto, by pomysleli o tym ludzie z wydziałów kultury i oświaty Prez. PRN. Trzeba bowiem, by ludzie ściągający z całego kraju w ten zakątek, w widach Wisły i Sanu wiedzieli, że historia Tarnobrzega nie rozpoczęła się od siarki, że Tarnobrzeg dużo wcześniej na zawsze zapisał się w dziejach polskiej kultury.

JAN GRYGIEL



Co roku piszę, że telewizja przegapia Dni Oświaty, Książki i Prasy i co roku, konsekwentnie w takt moich gorzkich słów, telewizja przegapia je gruntownie. Co roku więc dostajemy parę migawek z kermaszów, na których albo słońce świeci i operator wyluskuje z tłumy piękne dziewczyny, albo deszcz pada — i pokazuje równie piękne ujęcie z góry, tyle że dziesiątka parasoli. Komentarz nieodmiennie bywa ten sam: że wyległy tłumy, że świętecznie, że wiosennie.

Czasem bywa jeszcze migawka z jakiegoś spotkania autorowskiego, gdzie autentyczny głos pisarza i również autentyczne głosy czytelników, zastępuje naturalnie laurkowy tekścik pisany w studio, bo taśmy dźwiękowej szkoda, i a nuż by jej brakło na ryk samochodów i zgrzyt tramwajów z warszawskiej ulicy...

Dla sprawiedliwości dodać muszę, że w ostatnie dwa lata występuje przed kamerami minister Motyka, co jest godne odnotowania jako novum i — to byłoby mniej więcej wszystko.

A w Polsce wojewódzkiej i powiatowej kłębią się sprawy, mnożą różnorakie imprezy, działacze kulturalni nie śpią i nie jedzą przez 3 tygodnie maja, bo rozumieją zasadność swego poświęcenia, mądrą celowość nagromadzenia kulturalnych pomysłów, która jest dorocznym przypomnieniem, że w oświacie i kulturze polskiej dzieją się rzeczy imponujące — dodajmy równie imponujące jak przemiany w procesach świadomości odbiorców.

Kiedy więc sobie tak majowo zrzedzę od paru lat, a brak reakcji telewizji jest jedyną odpowiedzią, kiedy podsuwam moje własne pomysły, że byłby narzeczcie czas pokazać w stałym, bodaj kwadrans liczącym kąciku, codziennie, tych szaleńców bożych a społecznych, którzy przebudowują świadomość terenu, burzą spokój zapadłych wsi, skrzętnie gromadzą skarby folkloru, śledzą dzieje regionu i są jego żywymi książkami, dobijają się o spotkania ze znanymi nazwiskami w literaturze — żal, złość i niechęć do telewizji rosną we mnie. Żal — że marnuje nam te maję, złość — że sztampa jest jedyną formą myślenia dziennikarskiego, niechęć — że zbiór istot głuchych lub udających głuchotę szmerze nam odwieczne komentarze o kermaszu stoncu, dziewczynach.

Zatem tym miłszym słowem wypada mi obdarzyć telewizję

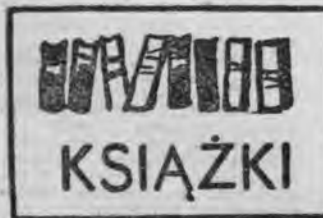
Kraków, która w ub. niedzielę przeniosła do studia fragment spotkania nowohuckich mieszkańców z krakowskim pisarzem publicystą Władysławem Machejkiem. Oczywiście z powodów technicznych spotkanie było jednostronne — mówił pisarz, ale nie mówił o sobie czy innym interesującym go zagadnięciu, lecz dawał odpowiedzi na postawiane mu uprzednio pytania. Jak zawsze u Machejka, klarowne i prosto formułujące myśli, z przewagą rzeczowości nad pięknoślowiem. Odpowiedzi składające się poza tym na portret literatury zaangażowanej i nie z nazwy ni z pozorów socjalistycznej. Wyjaśnił to Machejek na swoim przykładzie jednym, logicznie mocnym zdaniem: czuję się potrzebny, a jeśli jestem potrzebny, to muszę być i patriotyczny, i socjalistyczny. I jeśli od pradawnych czasów człowiek opowiada człowiekowi o człowieku pozornie to samo — w rzeczywistości jest to nieustanna weryfikacja starych układów na rzecz nowych treści, w których nie powinny mieć miejsca milczenie, apatia, fałszywa zgoda.

To było mądre spotkanie z pisarzem; o takie spotkania wolać należałoby właśnie teraz, kiedy trzy tygodnie maja tak bardzo intensyfikują każde działanie kulturalne. I powinna nas telewizja przyzwyczajając do tych spotkań z częstotliwością podobną tej, z jaką pojawiają się wieczorne kroniki Wyścigu Pokoju.

Bowiem ten drugi majowy doroczny ewenement kolarski właśnie w wieczornych kronikach jest o wiele atrakcyjniejszy aniżeli z bezpośredniej transmisji. Transmisji nie z trasy — nie z wyścigu więc, lecz zaledwie ze skrawka efektownego finiszu. Efektownego, dodajmy, w żalach i biadoleniu sprawozdawcy, że nic nie widzi, nikogo nie rozpoznaje i wie mniej niż my. Mylił mu się Bławdzin z Hanusikiem, Rozwścieczeni na sprawozdawców i telewizję, otumanieni zalewem słów o pogodzie i trybunach, otwieramy radio z ponurą satysfakcją, że radiowcy mówić umieją i wiedzą, iż liczy się rzetelna informacja.

Co i napisawszy, rozdrażniona, przyrzekam sobie za rok do tematu nie wracać! Zaś gdyby który z miłych a uważnych czytelników znalazł mi podobne zdanie sprzed roku — to niechże położy je na karb nieśladości drugiej połowy rodzaju ludzkiego, którą reprezentuję.

KRYSTYNA



Charles de Gaulle: PAMIĘTNIKI WOJENNE. Ocalenie, 1944-1946. MON s. 472, cena zł 95.

Polski czytelnik zna dwa poprzednie dwukrotnie wydane tomy wspomnień prezydenta Francji. Tom trzeci dotyczy okresu ostatnich lat wojny i miesięcy tuż po wojnie. Catość została podzielona na dwie części: treść i dokumenty. W treści występu-

ją również sprawy polskie. Nakład 20 tys. egzemplarzy.

Wacław Król: MÓJ SPITEIRE WX-L. MON s. 339, cena zł 24.

W. Króla znamy jako autora wspomnień wojennych z lat 1939-1941, pt. „W dywizjonie poznajskim”. Książka ta zyskała tak wielką popularność, że autor musiał napisać drugą. Ciąg dalszy swolich przygód wojennych, przegód lotnika-mysliwca, który walczył z hitlerowską Luftwaffe nad Anglią, Francją i Afryką. Również codzienny obraz życia polskich lotników.

Leon Małek: STRZĘPY ŻOŁNIERSKIEJ EPOPEI, MON s. 224 zł 22.

Z serii pamiętników wojennych. Wspomnienia żołnierza, który przeszedł szlak bojowy od Lenino do Berlina, a w międzyczasie wywalał Pragę, bil się o Wał Pomorski. Interesującym przyczynkiem jest fakt, że autor jako świeżo upieczony oficer polityczny przez kilka miesięcy pełnił swą funkcję w karnej kompanii.

DZIEJE FRONTOWEJ MIŁOŚCI. Wybr. i oprac. Czesław Goliszewski. MON s. 256, cena zł 14.

Pod takim samym tytułem redakcja „Żołnierza Wolności” ogłosiła konkurs na wspomnienia związane z tym pięknym ludzkim uczuciem dla partyzantów i żołnierzy wszystkich frontów II wojny światowej. Tom niniejszy zawiera wybór nadesłanych prac. Wśród ich wspomnień piszą między innymi: M. Kunicki i J. Łysakowski, który swoje wspomnienia pt. „Kryptonim „Jaskółka” umiejscawia w Bieszczadach.

Antoni Kołodziej: ICH TRZYDZIESTU SZESCIU. Opowieści marynarzy. Wyd. Morskie s. 303, cena zł 22.

Poszerzone wznowienie książki marynarza, który do dziś pływa pod polską banderą. Zawarte w książce opowiadania oddają atmosferę i warunki pracy oraz stosunki panujące na polskich i obcych statkach handlowych w latach 1928-1960. Bohaterami ich są autentyczni ludzie, głównie prości marynarze.

BAJKA LUDOWA W DAWNEJ POLSCE. Wybór i oprac. Helena Kapelańska. Słowo wstępne Julian Krzyżanowski. PIW s. 298, cena zł 30.

Literatura współczesna żywo interesuje się obecnie twórczością ludową. Dobrze się stało, że na półkach księgarskich ukazał się nowy wybór mądrości ludowych zawartych w bajkach. Głównie literatura staropolska i renesansowa, ułożona w cykle.

OBSZAR NIERÓWNY. Iskry s. 148, cena zł 7.

Niedługo już minie 10 lat działalności ochotniczych hufców pracy. Z tą rocznicą wiąże się niniejsza pozycja. Jest to bowiem zbiór reportaży drukowanych na łamach prasy krajowej w latach 1958-1966. Zasięg i efektywność działania OHP.

Stanisław Zieliński: KIEŁBIE WE LBIE. Iskry s. 208, cena zł 9.

Trzecie wydanie popularnej powieści znanego pisarza, które autor opatrzył nadtytułem: „Młodość... miłość... artyleria...”. Tematem jest

szuaba wojskowa w okresie międzywojennym.

Jerzy Szacki: UTOPIE. Iskry s. 220, cena zł 8.

Popularna. Zagadnienie dzieli autor na utopię miejsca, czasu, ładu wiecznego, zakonu, polityki, negatywną. Również pojęcie i wielość utopii.

Nowości Państwowego Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego

W. Holzschuh, W. Schmidt: KISZENIE PASZ. Przel. S. Hoser, G. Karłowska s. 208, cena zł 45.

W. Empej, S. Szeliński, M. Zakiewicz: PRAKTYCZNE ASPEKTY ZNIECZULANIA ZWIERZĄT. s. 272, cena zł 25.

Maria Lucka: TRUSKAWKI I POZIOMKI. s. 272, cena zł 14. Wyd. 3.

R. W. Doruchowski: WARSZYWA LIŚCIOWE. s. 208, cena zł 10. Wyd. 2.

H. Fajkowska, K. Wolfowa: WARSZYWA MAŁO ZNANE. Uprawa i przyrzadzanie s. 276, cena zł 16.

Kartki dla Ewy

WESTERN

Westerny niezmiennie od lat cieszą się powodzeniem. Tlum wali do kina podziwiać bohaterów. Treść zawsze ta sama. Szlachetny chłopak od krów pognebia czarny charakter przy okazji ratując seks-bombę od zejścia na psy. Opierając się na westernach można by przypuszczać, że od czasów Gilberta M. Andersona* w Ameryce wyginęły wszystkie podejrzone typy, a prerie Teksasu zamieszkuje świetlani potomkowie pierwszych osadników.

Westernów trudno nie lubić. Ładne plenery i nieskomplikowana fabułka z happy endem stawiają ten gatunek filmów w rzędzie bezproblemowych. Western jest filmem absolutnie wypoczynkowym, a dwie godziny urlopu od codziennych kłopotów są nie do pogardzenia. Wychodzi się jednak z kina ze sprzecznymi uczuciami. Widzowie czują się jakby oszukani. Ich życie wydaje im się ponure jak noc listopadowa, mniemają, że grzęzną w nudzie i finansowych niedoborach od pieluszek aż po trumienny gwóźdź. Namiętności nie dla nich.

Western jest bajką posiadającą wszelkie cechy autentyzmu. Przyjmowanie tej bajki bez korekty myślowej stwarza niebezpieczeństwo psychicznej demobilizacji. Zamiast biadać nad smutną egzystencją należy sobie uświadomić, że porwijące przygody bohaterów rozgrywają się w zgrzeszonym skrócie. Rozciągnięte na miesiące i lata stają się niczym innym jak dniem powszednim, w którym tak samo trzeba zdobywać papu. Dziś schabik kupujemy w garmażerii, wtedy pieklibyśmy przy ognisku bizonią szynkę. Piękne to, ale nie wyobrażam sobie współczesnego mieszczucha patroszącego dzikie bydłota.

Bohaterów łączy uważamy za intelektualistów, strategów i dyplomatów. Wychodzą cało z każdej opresji. Obcowanie z przyrodą z pewnością wyrobiło w nich szybki refleks i znieczuliło na trudy, ale w gruncie rzeczy byli to ludzie prymitywni, często analfabeci. Stalowe bicepsy i rąca szkapia nie zastępują oleju w głowie.

Wreszcie gdyby się tak zastanowić głębiej doszlibyśmy do przekonania, że i w naszym życiu bywają chwile pasjonujące. Nie umiemy, może nie chcemy ich dostrzec. Wysiłek niży, choć dusza za szerszym oddechem łka. Modele gotowe zawsze są łatwiejsze do przyjęcia. Idziemy więc do kina...

* Gilbert M. Anderson — realizator pierwszych filmów kowbojskich w latach 1907—1914.



MARIAN KUCZEK — Kierownik Szkoły Podstawowej w Kuryłowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Sławomir Kotula

Koncert na bicepsy

Stanisław Zbyszko Cyganiewicz rodak rzeszowski

Urodził się 1 kwietnia 1880 roku (a nie jak podano w encyklopedii 1881) w Jodłowej, pow. Jasto. Ojciec, Marcin z pochodzenia górak pełnił tu obowiązki leśniczego.

Wspominając później te czasy tak Zbyszko napisał o sobie: „...Las ze swoim tysiącem czarów, ze swym balsamicznym, ożywczym powietrzem był mi kolebką, był pierwszym towarzyszem moich zabaw dziecięcych. Nie dziw, że z dnia na dzień wzbierała we mnie siła, że wyrastałem na zdrowego chłopaka”.

Naukę pobierał początkowo w Piłźnie, potem niedługo w Jaśle, a następnie w Stanisławowie, dokąd rodzina przeniosła się na stałe.

Kiedy znalazł się w gimnazjum krakowskim zaczął próbować swoich sił na arenach prowincjonalnych cyrków. Zapasy w tym czasie cieszyły się olbrzymią popularnością. Gwoździem programu każdej areny cyrkowej były popis silaczy. Przyciągały tłumy widzów, często z odległych miejscowości. Afisz reklamujący występy cyrku ogłaszał „wszem i wobec”, że jakiś tam mistrz zmierzy się z każdym odważnym. Afisz oczywiście rekomendował atletę jako najsilniejszego człowieka na świecie. Jeśli nie było przeciwników, atleci rwali łańcuchy, łamali sztaby, podnosili ciężary. Do takiego wezwania stanął Zbyszko Cyganiewicz.

We wspomnieniach przyzna się potem, że do klasycznej sylwetki atlety brakowało mu jedynie puchniętych uszu. Był to atletyczny „herb zapasnika”. W jednej z walk przeciwnik naderwał Zbyszowski małżowinę uszną, co stanowiło wspaniałą okazję do zdobycia uznania rówieśników.

Jak to zwykle bywa w tym wieku, popada się w konflikt z rodzicami i wędruje się w szeroki świat.

Właśnie nadarzyła się okazja. W Stanisławowie rozłożył swe namioty węgierski cyrk Chorwata, a z nim przybywa w te strony zapasnik wiedeński Adolf Specht. Silacz zobowiązywał się rozłożyć każdego w ciągu paru minut. Zakład opiewał na 1000 koron.

Zgłosił się Zbyszko Cyganiewicz. Dyrektor przestrzegł jednak nowicjusza, że będzie walczył z mistrzem tylko 10 minut i powinien się tylko bronić, bo atleta nieposłusznym łamie kości. Po 10 minutach dzwonek miał odwołać Zbysz-

ko do garderoby. Za występ otrzymał wynagrodzenie 10 koron. Znudziło się młodemu, silnemu chłopcu zmykać na sygnał dzwonka. Przed kolejną walką oznajmił lojalnie dyrektorowi i samemu mistrzowi, że ta walka odbędzie się naprawdę.

— To jest zuchwalstwo, powiedzieli zgodnie. Już w półtoręj minucie po rozpoczęciu walki, mistrz światła leżał na łopatkach.

Młody Zbyszko ryzykuje po raz wtóry, w budce hamulcowego pociągu towarowego wraca do Krakowa i za zdobyte pieniądze kontynuuje naukę w gimnazjum.

Niedługo dane mu było cieszyć tym zajęciem. Do podwawelskiego grodu zawiął mistrz Pytlasiński. „Pytlas” w mig ocenił wartości fizyczne młodego gimnazjalisty i odmalował mu horyzonty światowej kariery zapasniczej. Zachęcony staje Zbyszko do walki z Beaukariosem, jednym ze słynnych już w świecie zapasników. Początek walki był obiecujący, w miarę upływu czasu wychodzi na jaw brak systematycznego treningu. Przeciwnik zastosował skuteczne i bolesne chwytły, młody champion leży na łopatkach ze zgruchotanym kolanem.

Zniechęcony wraca do Krakowa, uważa porażkę za koniec kariery zapasniczej. W pociągu wkuwa trygonometrię, bo jest właśnie po ustnym egzaminie maturalnym. Zdaje maturę prawie z odznaczeniem.

Kolano tymczasem zagoiło się zupełnie, a mistrz Pytlasiński zaprasza na tournée po Kongresówce. Walczy już jako zawodowy atleta. Zdobywa pierwsze pieniądze, które z trudem pozwalają żyć.

Następne lata to turnieje w Austrii. Przynoszą one Zbyszowski sławę i uznanie. Z groszem nadal było krucho i trzeba było wracać do Galicji na występy cyrkowe. Lżej było już żyć, bo pogodził się z rodzicami przyjęty jako syn marnotrawni.

Podczas kolejnego występu odwiedzają go w Jaśle dwie starsze ciotki. Ciotki zaczynają od progu: — Bój się Boga Stasiu, dlaczego wybrałeś karierę cyrkowca? Jak mogłeś taki despekt rodzinie zrobić?

Znając skłonności wszystkich cioć do nauk tego typu, możemy wczuć się w beznadziejność sytuacji.

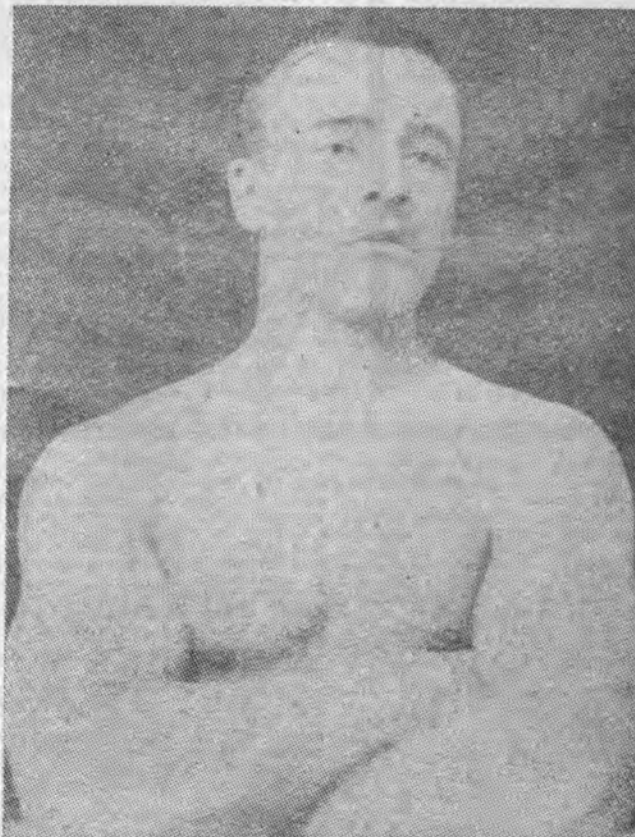
Zbyszka nie zbiło to jednak z konceptu. Zaprosił ciągle mówiące ciotki do pokoju hotelowego na lampkę wina. Spoil je tak dokładnie, że historia nie wspomina o próbach odwiedzenia go od kariery atlety.

W następnych latach bierze udział w wielu turniejach odbywających się w wielu krajach europejskich. Sławę i światowy rozgłos zdobywa w turnieju Casino de Paris. Tu kładzie na łopatkę olbrzymiego Serba mierzącego 2,14 cm wzrostu. Dużo trenuje, wyćwiczył własnego pomysłu chwyt, tzw. tylny pas, stał się on jego żelaznym chwytym. Po zwycięstwie w turnieju Casino de Paris osiąga pierwsze, wielkie sukcesy finansowe. Pomaga rodzicom, matce kupuje gospodarstwo rolne, a sobie kamienicę w Krakowie.

Dotychczasowi przeciwnicy dobiegają się, żeby zostać jego uczniami. Wybiera kilku i odtąd przez wiele lat razem będą wędrować po arenach świata.

Mimo nieprzeciętnej siły i potężnych bicepsów nie zaniedbuje Cyganiewicz kształcenia umysłu. Studiował prawo, znał języki angielski, francuski, szwedzki, węgierski a rozpoczął naukę tureckiego.

CDN.



Młodziawny silacz — fotografia Stanisława Cyganiewicza z lat gimnazjalnych.

ZDARZENIA TYGODNIA

KRONIKA DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

W ostatnim numerze „Widnokregu” odnotowaliśmy imprezy, jakie odbyły się z okazji inauguracji DNI. Dziś przedstawiamy ich przebieg w innych miejscowościach.

JAROSŁAW

W dalszym ciągu organizowane są lekcje biblioteczne. W powiecie odbyło się 4 spotkania z uczestnikami II wojny światowej i 8 wieczorków literackich, 12 odczytów na temat oświaty w Polsce Ludowej i 3 na temat jak powstała książka. Zorganizowano także koncert uczestników konkursu recytatorskiego, piosenki radzieckiej i żołnierskiej.

KOLBUSZOWA

W Weryni odbył się z okazji Dnia Działacza Kultury zjazd działaczy. W uroczystości uczestniczyło 67 osób. W tej samej miejscowości otwarto Klub Młodego Rolnika.

ŁAŃCUT

Pochód młodzieży szkolnej w strojach bohaterów książkowych. Na zakończenie koncert orkiestry dętej na rynku w Łańcucie. W Albigoj i Zolyni odbyły się koncerty laureatów XIV Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

MIELEC

Odbyło się spotkanie działaczy kulturalnych z powiatu. W części artystycznej wystąpił zespół chóralny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Mieleskiej „Melodia”. W Powiatowej Bibliotece Publicznej — wieczór literacki z okazji Dnia Zwycięstwa. W Zakładowym Domu Kultury odbyło się spotkanie z warszawskim reżyserem, Olgierdem Hanuszem, który mówił o roli teatru amatorskiego we współczesnej kulturze polskiej. Powiatowy Ośrodek Instrukcyjno-Metodyczny i Biblioteka Powiatowa organizowały wystawę pt.: „Dawna książka polska”. W 8 bibliotekach gromadzkich odbyły się spotkania członków kół przyjaciół książki, połączone z wieczornymi literackimi, poświęconymi 150 rocznicy urodzin K. Marksa, 38 rocznicy śmierci Wł. Majakowskiego i K. Baczyńskiego, żołnierzowi-poecie. 33 biblioteki odwiedziły wycieczki szkolne.

NISKO

W miejscowości Jeżowe odbył się przegląd amatorskich zespołów teatralnych, zorganizowano również przegląd szkolnych zespołów orkiestralnych. Na wsi odbyło się 17 odczytów, poświęconych życiu i działalności Lenina, twórczości M. Gorkiego, A. Mickiewicza i A. Fredry.

PRZEMYSŁ

W powiecie urządzono 17 wystaw książek i 8 ekspozycji reprodukcji. Zorganizowano spotkanie ze Sławomirem Mrożkiem i 3 spotkania z działaczami kultury. PDK zorganizował zgađuj-zgađule w Buszkowicach, Leszczawie, Malawie, Olszanach, Huwnikach, Stubnie i Duńkowiczach. Powiatowa Biblioteka Publiczna zorganizowała 4 kiermasze książkowe (Krasieczyn, Kuńkowce, Trójczycy i Birza). Ta sama placówka zorganizowała zgađuj-zgađule w Trójczycach, Kalnikowie, Sierakoścach, Nienadowej i Boleszycach.

SANOK

W Domu Kultury Dzieci i Młodzieży impreza „Nastroje wiosenne i inscenizacja „Laura i Filon”. W PIMBP wystawka „Udział Polaków w II wojnie światowej”.

W Muzeum Historycznym otwarto wystawę druków bibliofilskich. W miejscowości Daliowa urządzono wystawę reprodukcji malarstwa europejskiego ze zbiorów leninogradskego Ermitażu.

USTRZYKI DOLNE

W Domu Górników odbyła się zgađuj-zgađula pt. „Bliżej książki współczesnej”. W części artystycznej wystąpił zespół estradowy Kopalnictwa Naftowego w Lutowskich, odbył się konkurs na najlepsze czytanie i recytację. Udział wzięła młodzież szkolna członkowie ZMW.